

Ewa wzywa 07...



Kazimierz Sławiński

ZBRODNIA RODZI ZBRODNIĘ



30 lat Służby Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej

ISIRY

Ewa wzywa O7... Ewa wzywa O7...

Kazimierz Sławiński

ZBRODNIA RODZI ZBRODNIE



ISKRY · WARSZAWA · 1974

Porucznik Stanisław Maksymiak z Komendy Powiatowej w Świerczewie rozpoczął urzędowanie jak zwykle punktualnie o godzinie dziewiątej trzydzieści.

Świerczewo, niewielkie powiatowe miasteczko leżące u podnóża Karkonoszy, nazwę swą wywodzi od nazwiska dowódcy II Armii Wojska Polskiego — generała Karola Świerczewskiego. Armia ta wiosną 1945 roku wyzwoliła okoliczne tereny. Po zakończeniu działań wojennych wielu byłych żołnierzy osiedliło się w miasteczku i pobliskich wsiach. Teraz, po latach, to oni wciąż nadawali ton życiu miasta, mimo że większość z nich przeszła już na emeryturę, a miejsca za biurkiem i przy warsztacie zajęli ich synowie.

W Świerczewie panowały stosunki na pół rodzinne: prawie wszyscy mieszkańcy się znali.

Porucznik przeglądał właśnie poranną pocztę, kiedy odezwał się telefon. Podniósł słuchawkę, nie przerywając czytania.

— Słucham!

— Czy to milicja? — zapytała roztrzęsionym głosem jakaś kobieta.

— Tak, o co chodzi?

— Przyjeżdżajcie natychmiast! Zamordowano... — Kobieta urwała, jakby straciła nagle mowę.

— Proszę się uspokoić. Kogo zamordowano? Kto mówi?

— Pułkownika Odrowąża... W jego mieszkaniu na Wrocławskiej... Jestem jego gospodynią.

— Zaraz tam będziemy. Proszę tylko niczego nie ruszać.

Maksymiak natychmiast połączył się ze swoim szefem, kapitanem Miłozem, i zameldował mu o telefonie gospodyni Odrowąża.

— Weźcie, poruczniku, samochód — zdecydował Miłoz. — I zabierzcie ze sobą lekarza. Niech sprawdzi, czy Odrowąż nie zasnął lub nie zmarł na atak serca. Wiecie, jak ludzie lubią sensację i we wszystkim dopatrują się zbrodni. Jeśli to rzeczy-

wicie morderstwo, zaraz przyślę wam ekipę dochodzeniową.

Kierowca milicyjnej warszawy, kapral Kowalczyk, zapuścił motor. Pędzili na syrenie w stronę ulicy Wrocławskiej. Nie mieli szczęścia: tuż za śródmieściem ugrzęźli przed przejazdem kolejowym. Na bocznicę, prowadzącej do jedynej w mieście zakładu przemysłowego — Zakładów Wytwórczych Aparatury Przemysłu Spożywczego imienia Gottwalda, zwanych popularnie „Gottwaldem“ — manewrował długi pociąg towarowy.

Kierowca zaklął i zatrzymał samochód. Musieli czekać; objazdu nie było.

— Co się stało, panie poruczniku? — zapytał kierowca Maksymiaka, korzystając z postoju.

— Zamordowano pułkownika Odrowąża.

Maurycy Odrowąż dowodził w 1939 roku, w stopniu rotmistrza, szwadronem jednego z wielkopolskich pułków kawalerii. Po zakończeniu kampanii wrześniowej — przez Węgry, Jugosławię i Włochy przedostał się do Francji, a stamtąd dotarł do Anglii. Brał udział w walkach na Zachodzie, a po kapitulacji Niemiec wrócił do kraju.

Wyjechał na Dolny Śląsk i zaczął tam pracować w zakładach imienia Gottwalda.

Po kilku latach w Warszawie przypomniano sobie o Odrowążu. Nie powołano go do czynnej służby wojskowej, ale awansowano do stopnia pułkownika, zapewniono solidną emeryturę i zaproponowano współpracę z Wojskowym Instytutem Historycznym. Odrowąż chętnie na to przystał, nie opuścił jednak swego podgórskiego miasteczka.

Był człowiekiem samotnym. Za autorskie honoraria kupił na przedmieściu jednorodzinny domek, trochę go przebudował, umeblował i zamieszkał w nim, zdecydowany pozostać już tu na zawsze.

Po nawiązaniu kontaktu z Instytutem Historycznym Odrowąż całkowicie oddał

się pracy historyczno-publicystycznej, poświęconej głównie działaniom polskich sił zbrojnych na Zachodzie. Ukazało się kilka jego książek i szereg artykułów w różnych czasopismach.

Miasto szczyliło się swym sławnym pułkownikiem. Powszechnie wierzono, że ze swej pracy czerpie niezłe dochody. Odroważ — aczkolwiek był człowiekiem samotnym i, jak podkreślał, zagorzałym kawalerem — nie zaliczał się do odludków. Przeciwnie, utrzymywał kontakty towarzyskie z wieloma ludźmi, był aktywnym działaczem ZBoWiD-u, udzielał się społecznie; na wszystkich akademiach i uroczystościach lokalnych widywano w prezydium tego starszego, dystyngowanego siwego pana, z licznymi odznaczeniami w klapie marynarki.

Pociąg wreszcie odjechał. Szlaban podniósł się w górę: droga była wolna. Kiedy warszawa zatrzymała się na ulicy Wrocławskiej, przed numerem 87, stało tam już kilku ciekawskich. Na ganku willi czekała starsza kobieta.

Porucznik wyszedł z samochodu w towarzystwie lekarza.

— To pani wzywała milicję?

— Tak.

— Proszę nas zaprowadzić do środka.

Z ganku wchodziło się do niewielkiego hallu, stamtąd, na wprost drzwi, prowadziły schody na górę. Obok było wejście do kuchni. Po lewej stronie znajdował się duży, jasny pokój. Na środku podłogi leżał w kałuży krwi starszy mężczyzna. Lekarz pochylił się nad nim i stwierdził zgon.

Porucznik Maksymiak wszedł do środka i podniósł słuchawkę aparatu.

— Kapitanie — meldował — pułkownik Odroważ nie żyje. Ślady wskazują na morderstwo. Proszę o przysłanie ekipy dochodzeniowej. Tak, rozumiem. Ja w tym czasie przeprowadzę wizję lokalną.

— Kiedy pani stwierdziła zgon? — zwrócił się z pytaniem do gospodyni Odrowąza, Zofii Leśniakowej.

— Jak przyszedłam do pracy.

— O której to było godzinie?

— Około godziny dziesiątej. Trochę później niż zawsze, bo robiłam zakupy na

mieście. Otworzyłam drzwi wejściowe i chciałam wejść do kuchni... Ale zdziwiło mnie, że w gabinecie pana pułkownika jest cicho — od kilku dni pan pułkownik pisał na maszynie. Mówię więc: „dzień dobry, panie pułkowniku“. Nikt mi nie odpowiedział. Zajrzałam do środka i zobaczyłam, że pan pułkownik leży na środku pokoju. Myślałam, że zemdał, ale patrzę — a tu kałuża krwi! Zaraz zatelefonowałam na milicję.

— Zwłok pani nie ruszała?

— Nie! Skądże znowu.

— To dobrze. Od dawna prowadzi pani gospodarstwo pana pułkownika?

— Już jakieś sześć lat.

— Gdzie pani mieszka?

— Niedaleko. Na Kościelnej 5.

— Czy ma pani klucze od mieszkania?

— Mam. Od furtki i od drzwi na ganku.

— A dziś rano, kiedy pani przyszła, drzwi były zamknięte?

— Zamknięte.

— Na pewno?

— Na pewno!

— A furtka?

— Furtka też. Ale tam jest zatrzask.

— Czy drugich drzwi wyjściowych nie ma?

— Nie ma. Za Niemców było wyjście z kuchni do ogrodu, ale pan pułkownik kazał je zamurować.

Porucznik wszedł za Leśniakową do kuchni zastawionej szafkami i obwieszonej makatkami. Na półkach stały czyste, wypucowane garnki. Za oknem rozciągał się widok na niewielki ogródek. Wychyliwszy się przez okno porucznik zobaczył pozostałość dawnych schodów, które prowadziły kiedyś do zamurowanych teraz drzwi. Obok kuchni, w łazience, stała wanna zapelniona bielizną.

— Dziś miałam robić pranie, więc wczoraj wieczorem namoczyłam bieliznę. Dlatego wyszłam trochę później.

— To znaczy o której?

— Była chyba ósma godzina.

— Co w tym czasie robił pułkownik?

— Siedział przy biurku i pisał na maszynie.

Z hallu stromymi drewnianymi schodami weszli na górę. Znajdowały się tu

dwa pokoje. Jednym była sypialnia gospodarza. Szerokie małżeńskie łóżko starannie zasłano i przykryto kapą. Obok stała szafka nocna i szafa na ubranie. Na ścianie wisiał duży kilim z ryngrafem Matki Boskiej. Obok szafy było wejście do łazienki. Drugi pokój pełnił rolę rupieciarni. Zawalony był połamanymi meblami, skrzynkami, paczkami itp.

Porucznik Maksymiak wrócił do hallu.

— A te drzwi dokąd prowadzą?

— Do piwnicy.

Zeszli na dół. W małej piwnicy mieściła się pralnia, kotłownia, składzik opału i dwa pomieszczenia zastawione półkami. Niegdyś był tu garaż. Pułkownikowi garaż nie był potrzebny, przerobił go więc na skład owoców i warzyw. Przy ścianach stały skrzynie, a na regałach leżały duże, jasnoczerwone jabłka i złote gruszki.

— To z własnego ogródka?

— Nie, w ogrodzie nie ma drzew owocowych. Pułkownik owoce kupował u sadownika z Bolechowa. Jesienią — na całą zimę.

— Wracajmy na górę.

Zastali tam już ekipę dochodzeniową. Wywiadowcy robili zdjęcia, badali ślady. Starano się jak najdokładniej odtworzyć przebieg tragedii. Lekarz kończył obdukcję. Maksymiak rozejrzał się po obszernym pokoju. Przy ścianach stały regały z półkami pełnymi książek. Dwoje drzwi balkonowych prowadziło na taras, który był jednocześnie dachem dawnego garażu. Zejścia z tarasu do ogrodu nie było.

— Kiedyś były tu dwa pokoje — objaśniła gospodyni. — Kiedy pan pułkownik przerabiał willę, kazał rozebrać ściankę i zamurować okno od strony ogrodu. Zlikwidował też schodki z tarasu do ogrodu.

Lekarz podał porucznikowi protokół z oględzin zwłok.

...śmierć nastąpiła wskutek dwóch strzałów z pistoletu — oba były śmiertelne. Pociski przebiegły... powodując... Przybliżona godzina śmierci: między dwudziestą pierwszą i dwudziestą drugą ubiegłej doby.

— Więc pani twierdzi, że kiedy wczoro-

raj wychodziła pani do domu, pułkownik siedział przy biurku i pisał na maszynie?

— Tak. Poprosił mnie jeszcze o herbatę. Odpowiedziałam, że zaraz przyniosę. Wróciłam do kuchni, nalałam z czajnika herbaty i postawiłam szklankę na biurku. Potem pożegnałam się i wyszłam. Nie przyszło mi do głowy, że rozmawiam z nim ostatni raz. Taki porządny i zany człowiek! Panowie chyba wykryją mordercę?

— Tak, na pewno. Ale musi nam pani pomóc.

Porucznik Maksymiak podszedł do biurka, na którym stała maszyna do pisania. W wałek wkręcone były trzy kartki maszynopisu oznaczone u góry cyfrą „45“, na nich kilka zdań. Ostatnie: „natarcie 1 Dywizji Pancерnej rozpo...“ urwane było w połowie słowa. Obok maszyny do pisania leżało kilka książek, ryza papieru i teczka z maszynopisem. Pułkownik *dypl. w st. spocz. Maurycy Odrowąż: „Bitwa pod Falaise“* — przeczytał porucznik. Po lewej stronie biurka stała nie dopita szklanka herbaty.

— To ta sama szklanka?

— Tak, ta sama. A tu, obok, leżał złoty zegarek pana pułkownika, a teraz go nie ma.

— A gdzie jest cukier?

— Ja posłodziłam, w kuchni. Jak zawsze, półtorej łyżeczki.

— Czy pułkownik palił papierosy?

— Nie.

Maksymiak zainteresował się teraz regałami. Zgromadzone książki poświęcone były wyłącznie tematyce wojskowej. Militaria różnych wydawnictw — polskich i zagranicznych. Rosyjskie, niemieckie, angielskie, francuskie, nie brakowało również emigracyjnych-londyńskich. Odrowąż musiał być pedantem: tomy były uporządkowane w grupach tematycznych, dobrane wielkością i kolorem obwolut. Na dwóch półkach regału nie było książek. Na dolnej stała figurka średniowiecznego rycerza oraz model armaty z XIX wieku, na górnej — starannie ustawione w szeregu, niczym żołnierze na przeglądzie — butelki „Scotch whisky“. W jednym miejscu

widniała luka: wyraźnie brakowało dwóch butelek.

— Pan pułkownik kupował whisky?

— Przysyłał mu ją brat z Anglii. Opowiadał, że jedyne, co mu w Anglii smakowało, to ta wódka. Nie wiem, co w niej dobrego. Dał mi kiedyś spróbować. Górsza od naszego bimbru.

— Czy w tym miejscu zawsze brakowało butelek? — Porucznik wskazał lukę w szklanym szeregu.

— Nie. Były wszystkie.

— Aha, jeszcze jedno: Czy pani wie, gdzie pułkownik trzymał pieniądze?

— Wiem. W biurku po lewej stronie.

Porucznik delikatnie otworzył lewe drzwiczki. W szufladach leżały teczki, starannie przewiązane i posegregowane.

— Tu, w tym miejscu, zawsze były pieniądze. Wczoraj po południu pan pułkownik dał mi na zakupy sto złotych. Zauważyłam, że leżało tam jeszcze sporo setek.

— Czy w tych dniach pułkownik nie dostał z poczty jakichś pieniędzy?

— Dostał — przypomniała sobie Leśniakowa po chwili namysłu. — Przedwczoraj, piątego, listonosz przyniósł mu rentę.

— Dziękuję pani. Może pani zechce poczekać w kuchni.

— I co? — zwrócił się porucznik do kolegów z ekipy dochodzeniowej. — Macie co ciekawego?

— Broni nie znaleźliśmy. Ślady pocisków wykluczają samobójstwo. Nie odkryliśmy ani jednego śladu linii papilarnych, ani jednego przedmiotu, który mógłby należeć do mordercy. Nie ma również łusek z pistoletu. Załóżmy, że było tak, jak zeznała Leśniakowa. Około godziny dwudziestej wychodzi z willi. Odrowąż siedzi przy biurku i píše na maszynie, popijając herbatę. Herbatą jest nie dopita: ile czasu mogło to trwać? Około pół godziny?

Założmy więc, że jest godzina dwudziesta trzydzieści. Piszący słyszy dzwonek. Urywa w połowie zdania i podchodzi do drzwi. Otwiera i widzi kogoś stojącego przy furtce. Może znajomego? Trudno to teraz ustalić. W każdym razie pułkownik uruchamia automat otwierający furtkę i ten facet wchodzi do mieszkania. Prawdopodobnie obaj z hallu przechodzą

do pokoju i zajmują miejsca w fotelach przy tym małym, niskim stoliku. Jakiś czas rozmawiają. Dochodzi godzina dwudziesta pierwsza. Facet wstaje i wychodzi z pokoju. Tu, w tym miejscu, gdzie jest zakreślone kredą koło na parkiecie, odwraca się, wyjmując z kieszeni pistolet i dwukrotnie strzela do Odrowąza stojącego koło fotela. Pułkownik pada martwy.

Przebieg tych wypadków można ustalić niemal bezbłędnie na podstawie układu ciała ofiary i przestrzeliny pocisku w szybie.

— A drugi pocisk?

— Tkwi w ciełe ofiary. Wyjmiemy go i prześlemy do Zakładu Kryminologii. Wyniki badań mogą nas naprowadzić na nowy ślad.

Zbliżyli się do okna. Porucznik przyjrzał się przestrzelinie. Jeżeli pocisk pochodzi z pistoletu zarejestrowanego w Zakładzie, to istotnie można będzie rozwiązać zagadkę.

— Przyszła mi do głowy inna wersja — powiedział po namyśle Maksymiak. — Może mniej prawdopodobna, lecz niewykluczona. Załóżmy, że morderca miał swoje klucze. Otwiera furtkę, potem drzwi wejściowe. Zapracowany Odrowąż tego nie słyszy. Morderca staje w drzwiach. Pułkownik zrywa się od biurka — odsuwając gwałtownie fotel — i robi dwa kroki w jego kierunku. Wtedy padają strzały.

— To jest także możliwe — zgodził się wywiadowca. — Ale w tym wypadku należy założyć, że drugich kluczy dostarczyła mu Leśniakowa albo też umożliwiła podrobienie trzeciej pary.

— Tego w żadnym wypadku nie wolno wykluczyć. Należy się bliżej zainteresować Leśniakową i jej rodziną... A co się działo dalej?

— Dalej, przypuszczalnie, w obu wariantach to samo: morderca, zachowując wszelkie środki ostrożności, otwiera biurko, zabiera pieniądze — ile ich było, nie wiadomo — zegarek, dwie butelki whisky. Zaciera ślady, gasi światło — Odrowąż musiał przecież pracować przy świetle, a rano nie paliło się — i wychodzi, zamykając za sobą drzwi na klucz.

— Którym kluczem?

— Swoim albo Odrowąza, który mógł je zostawić w zamku od wewnątrz.

Klucze znaleziono na trawniku obok furtki. Leśniakowa twierdziła, że należały one do pułkownika; swoje nosiła przy sobie. Wskazywałyoby to na pierwszą wersję wypadków. Możliwe jednak, że morderca specjalnie wyrzucił klucze gospodarza, by wprowadzić w błąd milicję.

Naprzeciwko willi Odrowąza, po drugiej stronie ulicy, znajdował się pusty plac. Sąsiednie domy, po tej stronie, stały w sporej odległości.

— Czy pani zna sąsiadów pułkownika? — zwrócił się porucznik do Leśniakowej. — Znam tylko sąsiadkę z pierwszej willi. Jej mąż pracuje w radzie narodowej. Mają troje dzieci w wieku szkolnym.

Przesłuchiwana sąsiadka nic nowego do sprawy nie wniosła. Poprzedniego wieczora oglądali telewizję, nic nie słyszeli i nie widzieli nikogo na ulicy.

Następna willa należała do lekarza. Zastali tam głuchą jak pień staruszkę, od której z trudem się dowiedzieli, że państwo wyjechali na urlop.

Więć o morderstwie rozeszła się lotem błyskawicy po całym miasteczku. Przed willą Odrowąza gromadziły się tłumy gapiów żadnych sensacji. Snuto przy okazji przeróżne domysły i plotki.

Porucznik Maksymiak zabezpieczył willę, zostawił na posterunku milicjanta, polecił odesłać zwłoki do szpitala, po czym wrócił warszawą do komendy.

Kapitan Miłosz cieszył się opinią energicznego i zdolnego oficera MO. Miał bogatą praktykę i, co najważniejsze, dar logicznego kojarzenia, drobnych czasem, faktów i wyciągania słusznych wniosków. Tak się szczęśliwie składało, że w powiecie od dłuższego czasu nie trafiały się jakieś szczególnie skomplikowane zagadki kryminalne. Z reguły przestępcy popełniali tyle błędów, że ujmowano ich w ciągu kilku dni. „Mieszkańcy naszego powiatu nie grzeszą nadmiarem wyobraźni“ — mawiał często Miłosz.

Wysłuchawszy relacji porucznika o zamordowaniu Odrowąza i przejrząwszy no-

tatki ze śledztwa, kapitan doszedł do wniosku, że ta sprawa nie jest tuzinkowa.

— Jak sądzicie, poruczniku, co mogło być motywem tej zbrodni? — zapytał Maksymiaka.

— Rabunek — nieśmiało podsunął porucznik, aczkolwiek sam nie miał zaufania do tej hipotezy.

Miłosz pokręcił głową.

— Wątpię, chociaż oczywiście nie można tego wykluczyć. Morderca zabrał pieniądze i złoty zegarek. No i dwie butelki wódki. Wygląda na to, że zna dobrze tryb życia Odrowąza, może nawet zna go osobiście. Wybrał bardzo dogodny moment do popełnienia zbrodni.

Kapitan zamyślił się. Dochodziła już godzina siedemnasta. Od rana sprawa nie posunęła się ani na krok.

— Trzeba będzie przesłuchać sąsiada, tego z rady narodowej. Dowiedzieć się, kto to jest. No i sprawdzić, czy lekarz rzeczywiście wyjechał z żoną na urlop. Skoczę teraz do domu na obiad. Spotkamy się za godzinę.

Porucznik Maksymiak, diabelnie głodny, wpadł na obiad do pobliskiej restauracji „Zamkowej“. Przy suto zastawionym stole koło okna biesiadowała spora grupa robotników z „Gottwalda“. Fabryka ta, po wojnie kilkakrotnie rozbudowywana i modernizowana, wytwarzała nowoczesną aparaturę dla przemysłu spożywczego. Aparatura miała ustaloną markę, znaczna część produkcji przeznaczona była na eksport. Ponad tysiąc ludzi licząca załoga była jak najściślej związana z miastem. Zakłady zatrudniały prawie co dziesiątego mieszkańca. Wszyscy się dobrze znali, a większość łączyły już wzajemne koligacje rodzinne. Tworzyli świetnie zgraną, solidarną siłkę. Pracowali dobrze — ale mieli swoiste poglądy na własność społeczną.

Doszło do tego, że było już naprawdę źle. Dopiero gdy przed dwoma laty Miłosz wyznaczony na komendanta straży przemysłowej energicznego Ludwika Jędrzejczaka, sytuacja nieco się poprawiła. Przed kilkoma miesiącami zjednoczenie przysłało nowego kierownika działu kadr, mgr. Romualda Pawlickiego, który — nie

mając powiązania z siwą — sprawnie zabrał się do dzieła. Podniosła się dyscyplina pracy, a w związku z tym i wydajność.

Maksymiak w czasie obiadu przyglądał się spod oka robotnikom. Zamiast iść do domu, przepijają dniówkę — pomyślał.

Zapłacił za obiad i wyszedł. Przed komendą czekał na niego Miłosz w szarej warszawie. Ruszyli w stronę willi Odrowąża.

Stojący na posterunku przed willą milicjant zameldował komendantowi, że nść ważnego nie zaszło, koło domu nie kręcił się nikt podejrzany.

Weszli do środka. Kapitan pobieżnie przejrzał kuchnię, pokój na poddaszu i piwnicę. Zainteresował go dopiero pokój, w którym zamordowano Odrowąża. Białe elipsy na parkiecie wskazywały miejsce, gdzie leżały zwłoki i gdzie prawdopodobnie stał morderca.

Miłosz powoli przeszedł przed regałami i zatrzymał się przy biurku. Wszystkie przedmioty stały na swoich miejscach, tak jak je rano zastał porucznik. Kapitan otworzył szufladę i drzwiczki biurka.

— Tu leżały pieniądze — objaśniał Maksymiak.

— Trzeba będzie ustalić, ile ich było. Na pewno są gdzieś w biurku odcinki pocztowe. Może listonosz będzie pamiętał. Musicie, poruczniku, dokładnie przejrzeć wszystkie szuflady: papierek po papierku. Trzymajcie się zasady, że nie ma przedmiotów ważnych i nieważnych. Każdy drobiazg może rzucić światło na zbrodnię. Ja pojedę teraz do ZBoWiD-u; może tam się dowiem czegoś o Odrowążu.

Maksymiak był młodym oficerem MO. Nie posiadał takiego doświadczenia, jak Miłosz. Oznaczał się jednak systematycznością i pedanterią w pracy. Podobnie jak Miłosz nie wierzył w tezę o morderstwie na tle rabunkowym.

Usiadł, zapalił papierosa i z energią zabrał się do pracy.

W lokalu miejscowego koła ZBoWiD-u Miłosz zastał przewodniczącego — majora rezerwy, Konkiewicza.

— Witam, kapitanie. Co pana tu do mnie sprowadza? — powitał Miłosza.

— Pewnie słyszeliście, majorze, co się stało dzisiejszej nocy?

— Tak, to potworne. Ale kto to mógł zrobić? Dlaczego?

— Nie mogę jeszcze na to udzielić wyczerpującej odpowiedzi. Przeszedłem do was, majorze, porozmawiać w tej sprawie.

Kapitan z miejsca przystąpił do rzeczy: Interesuje go, z kim się Odrowąż kontaktował; czy miał osobistych wrogów? Komu mogło zależeć na jego śmierci?

— Czy dobrze znaliście Odrowąża — zaczął, aby ułatwić mu odpowiedź.

— Czy dobrze — trudno powiedzieć. Aby poznać człowieka, trzeba z nim zjeść beczkę soli. Tak przynajmniej mówi ludowe przysłowie... Odrowąż często bywał w naszym lokalu. Przy kawie dyskutowaliśmy o polityce, o wojnie. Był człowiekiem zamkniętym w sobie. O jego prywatnych sprawach wiem bardzo mało. Nigdy nic nie wspominał, że ma wrogów. Komu by mogło zależeć na jego śmierci? Naprawdę, nie mam pojęcia. Może to były jakieś motywy polityczne?

— Możliwe. Ale jakie?

— Odrowąż pisał wiele na temat drugiej wojny światowej. Jego twórczość była nie w smak londyńczykom. Sam mi to mówił.

— I mieliby go za to mordować?

— Odrowąż w swoim czasie napisał obszerną pracę o bitwie pod Monte Cassino. Nie ujmując chwały polskiemu żołnierzo- wi, skrytykował ostro dowództwo II Korpusu. Wywołało to istną burzę na Zachodzie. Otrzymał szereg listów z pogrózkami: wymyślano mu od „moskiewskich pachol- ków“, grożono szubienicą. Śmiał się z tego, ale czułem, że się czegoś obawiał.

— Skąd nadchodziły te listy?

— Przeważnie z Polski. Myślę, że na ten temat mógłby nam powiedzieć coś ciekawego Pawlicki.

— Ten z „Gottwalda“? A co on może wiedzieć?

— Pawlicki przebywał w Anglii. Potem przerzucono go do Polski i działał w AK.

— Czy Pawlicki należy do ZBoWiD-u?

— Nie, nie należy. A może proboszcz powiedziałby panu coś bliższego o pułkowniku...

— Proboszcz?

— Tak. Odrowąż był częstym gościem u proboszcza.

Miejscowy proboszcz przyjął Miłosza z wylewną serdecznością.

— Witam pana kapitana. Czemu dziękuję tak miłą wizytę?

— Ksiądz kanonik wie zapewne o tragicznej śmierci pułkownika Odrowąża?

— Wiem. Co za nieszczęście! Biedny Odrowąż. Taki wierny syn Kościoła. Któż to mógł zrobić? I dlaczego — dlaczego? Na pewno milicja wykryje sprawcę. A cóż ja, pokorny sługa boży, mogę zrobić? Jutro odprowadzę mszę świętą za duszę zmarłego i zajmę się pogrzebem.

— Mnie interesują pewne konkretne sprawy: ziemskie.

— Słucham pana kapitana?

— Wiem, że ksiądz kanonik był w bliskich stosunkach ze zmarłym. Chciałbym otrzymać pewne informacje. Kto należał do bliskiego kręgu znajomych pułkownika? Czy miał osobistych wrogów? Czy uchodził za człowieka zamożnego?

Kanonik splócił dłonie na brzuchu i w zamyśleniu wpatrywał się w sufit.

— Jak panu zapewne wiadomo — powiedział po chwili — zmarły nie prowadził bujnego życia towarzyskiego. Do mnie zaglądał dość często, to prawda. Czasem grywaliśmy w brydża: bywał u mnie mecenas Nowodworski z żoną; dyrektor pegeru, inżynier Rosohowicz; emerytowany dyrektor liceum, profesor Gorczyca — to chyba byłiby wszyscy. Czy miał osobistych wrogów? Nigdy o tym nie wspominał. Czy uważano go za człowieka zamożnego? Raczej tak.

— A czy Odrowąż prowadził z księdzem rozmowy na tematy osobiste? Czy opowiadał o swoim prywatnym życiu?

— Tak! I to nawet bardzo wiele! Można powiedzieć, że odkrywał przede mną swoje tajemnice jak na spowiedzi.

— Czy ksiądz może zdradzić mi te tajemnice?

— Gdyby Odrowąż żył, nie mógłbym tego zrobić, ale w tym wypadku — gdy chodzi o dobro śledztwa — chętnie służę informacjami.

Kapitan cały zamienił się w słuch. Aby nie stwarzać pozorów oficjalnego przesłuchania, na razie nic nie notował, starając się wszystko zapamiętać.

Gospodynini wniosła dwie szklanki kawy, grubo pokrojony placek, butelkę nalewki i dwa kieliszki. Kanonik rozlał czerwony napój i rozpoczął opowieść.

W środkowej szufladzie biurka porucznik nie znalazł nic ciekawego. Leżały tam różne drobiazgi. W górnej szufladzie, po lewej stronie, tam, gdzie Odrowąż przechowywał pieniądze, leżała teczka z rachunkami za światło, opał, gaz... Były tam także odcinki pocztowe. Przeglądając je uważnie jeden po drugim, znalazł wreszcie to, czego szukał: odcinek wypłaconej renty w dniu 5 września, opiewający na kwotę trzech tysięcy stu złotych. Z tą samą datą znalazł drugi odcinek na kwotę sześciu tysięcy sześciuset złotych. Nadawcą było Wydawnictwo MON.

W szufladzie znalazł też książeczkę PKO ze stanem trzydziestu ośmiu tysięcy. Ostatniej wpłaty dokonano przed pół roku. Cała więc suma wartości około dziesięciu tysięcy złotych zniknęła. W kieszeniach zamordowanego znaleziono tylko trochę bilonu.

W innej teczce znajdowały się umowy wydawnicze. Ostatnia z MON-u na pracę pt. „Bitwa pod Falaise“. Kwota zaliczki odpowiadała kwocie z odcinka pocztowego. Czyżby istotnie pieniądze były powodem zbrodni? Jeżeli tak, to morderca musiał być dokładnie powiadomiony, że 5 września Odrowąż otrzymał obydwie przekazy. Pieniądże leżały, według oświadczenia Leśniakowej, na samym wierzchu. Czyżby morderca zadowolili się tym i nie czynił dalszych poszukiwań?

W innych teczkach Odrowąż przechowywał świadectwa i dyplomy. Następna szuflada zawierała etui z odznaczeniami oraz kilka pudełek ze starannie ułożonymi listami. Nie było ich wiele: od brata z

Anglii, siostry z Warszawy i jakiegoś znajomego, także z Warszawy. Z ich treści nie wynikało nic, co mogłoby mieć jakikolwiek związek ze sprawą.

Porucznik zajrzał teraz do szafki biurka. Skoroszyty. Wziął pierwszy z góry. „Relacje z kampanii 1940 roku” — przeczytał. Wewnątrz był maszynopis. W lewym górnym rogu podane było imię, nazwisko, stopień wojskowy i data. Opisany dzień po dniu. Wziął drugi skoroszyt — był to dalszy ciąg relacji z kampanii francuskiej. Następne teczki zawierały informacje o ewakuacji do Wielkiej Brytanii, organizacji wojska w Anglii i wreszcie kampanii na Zachodzie w latach 1944 — 1945. Tych było najwięcej: wypełniały aż pięć skoroszytów.

W ostatniej szufladzie biurka leżały albumy z fotografiami. Wszystkie starannie powklejane i dokładnie opisane; przeważnie z Anglii, frontu zachodniego i z Francji. Wynikało z tego, że Odrowąż dawno już nosił się z zamiarem poświęcenia się pracy publicystycznej. Porucznik nie znalazł jednak nic, co mogłoby rzucić światło na motywy zbrodni.

Dochodziła godzina dwudziesta druga. Porucznik wstał i zamknął biurko.

Nazajutrz rano porucznik Maksymiak złożył obszerny meldunek o wyniku swych poszukiwań w willi Odrowąża.

— A czy nie znaleźliście, poruczniku, jakichś listów z pogrózkami?

— Nie, takich nie było. Czytałem każdy list.

— A ja dowiedziałem się nieco ciekawych rzeczy u naszego plebana. Odrowąż miał nieliczną rodzinę. Z najbliższych — tylko brata i siostrę. Ale przed wojną kochał się w pewnej pannie. Ślub został wyznaczony na wiosnę 1939 roku. W ostatniej chwili narzeczoną odbił mu młodszy kolega z pułku. Ten zawód miłosny przeżył bardzo głęboko.

Tymczasem ów kolega poległ we wrześniu. Przed Odrowążem otworzyły się nowe perspektywy. Już z Anglii nawiązał kontakt z młodą wdówką, posyłał jej paczki i pisywał listy przez Czerwony Krzyż. Na-

gle kontakt urwał się. Ktoś go zawiadomił, że wdówka nie żyje. Sądził, że zamordowali ją Niemcy. Gdy wrócił do kraju, poznał prawdę. Owa pani była na usługach gestapo i została skazana na śmierć przez Sąd Polski Podziemnej. Wyrok wykonano. Wówczas Odrowąż złożył ślubowanie, że nigdy nie zainteresuje się więcej żadną kobietą. Oto cała tajemnica jego starokawalerstwa.

Wprawdzie to jest romantyczne i dramatyczne, ale nie ma związku ze śmiercią pułkownika. Są jednak inne sprawy, które mogą się z tym łączyć. Odrowąż, jak mówiłem, ma siostrę w Warszawie. Powiadomiono ją o śmierci brata, więc na pewno przyjedzie na pogrzeb — wtedy ją przesłuchamy. Ma również i brata Adama, który mieszka teraz w Londynie. Podobno nieźle mu się tam powodzi. Po raz pierwszy po wojnie odwiedził Polskę rok temu. Był w Warszawie, u siostry. Tu nie przyjechał, ale bracia spotkali się we Wrocławiu. Odrowąż wrócił z tego spotkania — jak to opowiadał kanonik — „zdenerwowany i roztrzęsiony”. Podobno powiedział, że „brat chciał go zrobić”. Później nigdy o tym już nie wspominał. Co wy na to, poruczniku?

— Ciekawe, u kogo Odrowąż spotkał się z bratem?

— Mnie też to interesuje. Możliwe, że wyciągniemy to od jego siostry. Dziś musimy przesłuchać mecenasa Nowodworskiego, dyrektora Rosohowicza i profesora Gorczycę. — Kapitan notował na kartce nazwiska. — Niech ich tu ściągnie oficer dyżurny. Naturalnie trzeba ich uprzedzić, żeby się nie wystraszyli. A na razie poprosimy tu Leśniakową.

Leśniakową wprowadzono do gabinetu. Miłosz uprzedził ją, że jej zeznania mają pierwszorzędne znaczenie dla wykrycia mordercy, więc powinna mówić tylko prawdę.

— Dobrze, panie kapitanie. Będę mówiła jak na spowiedzi.

Spisano dane personalne, z których wynikało, że jej mąż jest emerytem kolejowym. Razem z nimi mieszka córka i zięć.

— Kim jest pani zięć?

— Nazywa się Nowoczek. Jest ślusarzem, pracuje u „Gottwalda“.

— Co pani może powiedzieć o swoim zięciu?

— Jakby tu powiedzieć... Dobry chłopak, tylko zadaje się z takimi nic niewartymi.

— Czy pani nigdy nie dawała zięciowi kluczy od willi pułkownika?

— Nigdy! Boże uchoвай!

— A czy on przychodził kiedy z panią do willi?

— A po co? Nie wpuściłabym go.

— Co pani zięć robił przedwczoraj wieczorem? Był w domu?

Leśniakowa wyraźnie się zmieszała.

— Nie, nie było go w domu. Gdzieś się włóczył po nocy. Późno wrócił. Na gazie...

— A wczoraj?

— Też gdzieś popijał. Rano wystroił się w jasną marynarkę, szare spodnie i powiedział, że na kilka dni wyjeżdża w delegację.

— Nie powiedział, dokąd jedzie?

— Nie.

— Dobrze, sprawdzimy to.

Potem wypytano Leśniakową o tryb życia Odrowąży. Czy wyjeżdżał z domu? Dokąd. Czy otrzymywał listy i paczki?

Zeznała, że od kilku lat, w czasie których prowadziła gospodarstwo, pułkownik wyjeżdżał kilka razy — jak mówił — do Warszawy. Listów dużo do niego nie przychodziło.

— A kto odwiedzał pułkownika?

— Mało kto. Kilka razy widziałam księdza kanonika i jednego pana, mecenasa. Przychodził też jakiś inżynier i profesor. Rzadko ich widywałam. Aha, czasem zjawiał się u niego Górniak.

— Kto to jest?

— Sadownik z Bolechowa. Pan pułkownik kupował u niego owoce i warzywa na zimę. To był stary znajomy pułkownika. Służył pod pułkownikiem w wojsku jeszcze przed wojną.

Po wyjściu Leśniakowej kapitan połączył się z kierownikiem kadr „Gottwalda“.

— Zaraz sprawdzę — odpowiedział magister Pawlicki. — Kapitanie, Nowoczek nie ma żadnej delegacji — odezwał się

znowu. — Po prostu nie przyszedł do pracy.

— To zaczyna być ciekawe. — Miłosz spojrział na porucznika. — Musimy bliżej zainteresować się Nowoczkiem.

Pierwszy na przesłuchaniu stawiał się mecenas Nowodworski.

— Odrowąż był wspaniałym człowiekiem — powiedział z przekonaniem. — Humanista w każdym calu. Oficerów kawalerii przed wojną nie uważano za intelektualistów; *casus* Odrowąży stanowczo zaprzecza tej opinii.

Potem długo mówił o zasługach wojennych pułkownika i jego osiągnięciach w dziedzinie publikacji historyczno-wojskowych. O jego życiu prywatnym nic jednak konkretnego nie potrafił powiedzieć:

— Owszem, spotykaliśmy się z pułkownikiem i od czasu do czasu przy zielonym stoliku graliśmy w brydża, u niego lub u mnie. Ale jak to przy kartach: nie było czasu na zwierzenia ani opowiadanie o swych kłopotach.

Po mecenasie przesłuchano inżyniera Rosohowicza, dyrektora miejscowego pegeeru. Wysoki, barczysty, o wyglądzie typowego szlagona, wtoczył się do gabinetu, usiadł na fotelu i nie pytany zagalił:

— A to historia z tym Odrowążem. Kte by przypuszczał!

— Widzę, że się domyślił pan, po co go tu wezwałem — powiedział Miłosz. — Przystąpmy więc od razu do rzeczy. Od dawna znał pan Odrowąży?

— O, ładnych kilka lat. Od czasu jak tu objąłem stanowisko dyrektora; to jest równe sześć lat.

— Co was łączyło?

— Zamiłowanie do koni. Odrowąż był zapalonym koniarzem, ułanem z krwi i kości. Zresztą nic w tym dziwnego: to już rodzinna tradycja. Znam tę rodzinę, sam pochodzę z Wielkopolski. Jego prapradziadek za czasów Księstwa Warszawskiego własnym sumptem ufundował pułk ciężkiej jazdy. Dosłużył się stopnia generała-majora i do końca bił się pod Napoleonem. Jego syn, a więc pradziad Murycego, służył w kawalerii narodowej

pod Mirosławskim w 1848 roku; a dziad na czele sformowanego przez siebie oddziału jazdy brał udział w powstaniu styczniowym. Ojciec służył już w pruskiej kawalerii. Nic więc dziwnego — zakonkludował — że obaj ostatni Odrowążowie, Maurycy i Adam, poświęcili się służbie w kawalerii.

— To bardzo ciekawe, ale wracajmy do pańskiego pegeeru — wtrącił Miłosz.

— Przepraszam, zagalopowałem się. Otóż Maurycy Odrowąż, jak mówiłem, zapalony koniarz, często do mnie przychodził... Trzeba panu wiedzieć, że stadko ogierów w moim pegeerze ma ustaloną renomę. Słyszał pan o ogierze „Grom“. Nie? Poszedł na eksport do USA za czterdzieści tysięcy dolarów. Przeliczywszy na...

— Dobrze, ale jak to było z Odrowążem?

— O, przepraszam. Otóż przychodził do mnie i opowiadał o dawnych kawaleryjskich czasach. Tych prawdziwych: konnych. Był zdania, że ułani w samochodach przestają być ułanami. I sam często jeździł konno. A żeby pan wiedział, jaki miał dosiad.

Rosohowicz usiadł okrakiem na krześle, wyprostował się, pokazując, jak Odrowąż dosiadał konia i jak trzymał wodze.

— A na inne tematy poza końmi panowie nie rozmawiali?

— Nie przypominam sobie.

— Czy pułkownik palił?

— Nie.

— A alkohol pił?

— Bardzo mało. I tylko szkocką wódkę. Miał u siebie baterię butelczynek. Gdy go odwiedzałem, częstował mnie tym specjałem. Wypijaliśmy parę kieliszczków pod kawę...

Rosohowicz nie wniósł do sprawy żadnych rewelacji. Na domiar złego, oficer dyżurny zameldował, że profesor Górczyca wyjechał na dzień do Wrocławia: — Zostawiłem u niego w domu wezwanie na jutro do komendy.

— Dobrze — mruknął kapitan w niezbyt radosnym nastroju.

Wieś Bolechowo rozciągała się wzdłuż szosy w odległości kilku kilometrów od miasta. Milicyjna warszawa wyjechała z placu Wolności, skręciła w lewo, przecięła tor kolejowy i po kilku minutach wjechała do wsi. Górniaka wszyscy znali. Trafili więc bez trudu do dużego gospodarstwa. Z tyłu, na stoku wzgórze, ciągnął się sad. Porucznik wszedł do obejścia.

Przywitała go czarna, śniada kobieta, żona Górniaka. Mówiła poprawnie po polsku, ale z wyraźnym obcym akcentem.

— Męża nie ma. Wyjechał we środę wieczorem.

— Dokąd pojechał?

Wzruszyła ramionami.

— A bo to chłop powie? W południe był tu pułkownik Odrowąż. Pogadali o czymś, a potem Wojtek powiedział, że jedzie do znajomego z wojska... ale gdzie, nie wiem.

— A pułkownika Odrowąża pani dobrze zna?

— Pewnie, że dobrze. Poznałam go jeszcze w trzydziestym dziewiątym. Odrowąż z Wojtkiem i kilkoma żołnierzami po kampanii wrześniowej przedzierali się przez Węgry i Jugosławię do Francji. Ja jestem, proszę pana, Słowenka, a mój ojciec miał duże sady w Jugosławii. Pewnego wieczoru zjawił się u nas Odrowąż. Zarwał się lód na rzece i Wojtek skapał się w zimnej wodzie. Ojciec się nim opiekował, ale Wojtek dostał zapalenia płuc i nie mógł dalej iść, więc został. A potem, gdy Niemcy zajęli Jugosławię, poszedł z naszymi chłopakami w góry — do partyzantów. Po wojnie się pobraliśmy i przyjechaliśmy do Polski. Wojtek dostał tu gospodarstwo sadownicze. Po kilku latach spotkał Odrowąża i od tego czasu dostarcza mu owoców i warzyw.

— Czy pani wie, że pułkownik nie żyje?

— Jezus Maria! Co mu się stało?

— Został zamordowany.

— Zamordowany — powtórzyła Górniakowa. — Kto go zamordował?

— Na razie nie wiadomo. Szukamy mordercy.

— Pan jest z milicji?

— Tak. Czy pani nie słyszała od męża, że pułkownik obawia się jakichś wrogów?

— Nie. Nic takiego nie słyszałam.

— Mam do pani prośbę: Jak wróci mąż, niech zaraz zatelefonuje do komendy MO do mnie, do porucznika Maksymiaka, dobrze?

— Dobrze. Będę pamiętała.

Porucznik wrócił do samochodu. To, co usłyszał od Górniakowej, było bardzo cenne. Nie miał wątpliwości, że Górniak po powrocie będzie mógł mu udzielić wielu ważnych informacji.

W prezydium porucznik dowiedział się, że sąsiad Odrowąża jest kierownikiem wydziału spraw wewnętrznych. Człowiek zupełnie pewny i wykluczone, by mógł maczać palce w morderstwie. W ośrodku zdrowia poinformowano go, że drugi sąsiad Odrowąża, lekarz, dwa tygodnie temu pojechał na urlop do Bułgarii.

Po powrocie do komendy, w gabinecie zastał komendanta straży przemysłowej — Jędrzejczaka.

— Mamy znów meldunek o kradzieży cyny — objaśnił kapitan.

Cyna w zakładach „Gottwalda“ stanowiła łakomy kąsek dla złodziejasków: stosunkowo łatwo było ją wynieść i bardzo łatwo sprzedać.

— Wynika z tego, że komendant Jędrzejczak nie dowidzi — zakpił porucznik.

— Najtrudniej jest się ustrzec przed wewnętrznym złodziejem — bronił się Jędrzejczak, kładąc na biurku pismo dyrekcji.

— Co? Znów podejrzewacie Golca? I znów bez konkretnych dowodów? Zrobimy rewizję i wyjdą nici! Nawet jeśli on istotnie stoi na czele gangu, to nie taki on znów głupi, by kradzione przechowywać w domu.

— Ale pewno ma pieniądze za skradzioną cynę. Dwa dni już nie przychodzi do pracy i pije w mieście wódkę. Skąd ma pieniądze?

— Widziałem wczoraj Golca w „Zamkowej“ — wtrącił porucznik.

— No proszę!

— Na razie rewizji nie będę przeprowadzał. Niech oficer służbowy sprowadzi tu Golca; pogadam z nim.

Po wyjściu Jędrzejczaka Miłosz wysłuchał relacji porucznika. To, czego się do-

wiedział o Górniaku, było istotnie cenne. Skoro znajomość Górniaka z Odrowążem wywodziła się sprzed wojny, a obecnie często się kontaktowali — to Górniak mógł im dostarczyć wiele wiadomości o pułkowniku. Niestety, Górniaka nie było. Miłosz się jednak spodziewał, że wróci lada dzień. Wyjazd Górniaka w kilka godzin po rozmowie z Odrowążem też budził wiele domysłów. Tym bardziej, że tego samego wieczoru nieznany sprawca zamordował Odrowąża.

— Niech pan teraz pójdzie, poruczniku, na pocztę i zapyta o listonosza, który 5 września doręczył rentę Odrowążowi, a ja w tym czasie zajmę się sprawami bieżącymi.

Listonosza porucznik zastał na pocztce. Właśnie wrócił z obchodu.

— Naturalnie, że znałem pułkownika Odrowąża. Od lat każdego piątego nosiłem mu emeryturę. Trzy tysiące sto złotych. Ostatnim razem był jeszcze drugi przekaz na sześć tysięcy sześćset złotych. Razem mu wypłaciłem dziewięć tysięcy siedemset.

— Pamięta pan może, jakimi banknotami?

— Pamiętam: pięć tysięcy było tysiącami, reszta setkami.

— Pan wie, że pułkownik nie żyje?

— Opowiadano mi o tym.

— Cała kwota, którą pan dostarczył, zniknęła.

— Czyżby dla tych niecałych dziesięciu tysięcy można było zamordować niewinnego człowieka?

— Czasem się morduje dla trzystu złotych. Dziękuję panu.

Do komendy porucznik wracał przez ulicę Kościelną. Wywiadowca obserwujący dom Leśniakowej zameldował, że jej zięć Nowoczek jeszcze do domu nie wrócił.

— Godzinę temu szwendał się tu Golc. Wyglądało na to, że jest pod gazem — uzupełnił wywiadowca.

— Dobrze, obserwujcie dalej.

Gdy porucznik wszedł do gabinetu Mi-

łosza, zobaczył na biurku dwie puste butelki po szkockiej wódce.

— Czy takie same butelki są u Odrowąza?

— Identyczne! Skąd one się tu wzięły?

— Znalazł je oficer dochodzeniowy... — kapitan zawiesił głos — ...u Golca. Zamiaszt cyny. — Zaśmiał się.

— A gdzie Golc?

— Jest u nas; zaraz weźmiemy go w obrotu.

Po kilku minutach wprowadzono Golca. Był brudny, nie ogolony i wyraźnie wstawiony.

— Słuchajcie, Golc! — zaczął kapitan. — Wiem, że lubicie wypić, ale nie słyszałem, że pijecie tylko szkocką wódkę. Co to, polska wam nie smakuje?

Golc siedział w milczeniu, lypiąc przekrwionymi białkami oczu.

— No, więc jak? Nie smakuje wam czy sta?

— Smakuje — odpowiedział Golc.

— To po co wydajecie pieniądze na taką drogą wódkę? Skąd macie tyle forsy? Gdzie sprzedaliście skradzioną cynę?

— Nie kradłem żadnej cyny.

— A skąd macie szkocką wódkę?

— Znalazłem.

— Co, wódkę?

— Niel Paczkę. A w środku były dwie butelki.

— Gdzie znaleźliście? Kiedy?

— Wczoraj wieczorem. Na ulicy, koło baru „Pod Słonem“.

— Golc, przestańcie strugać wariata! Te dwie butelki szkockiej należały do zamordowanego pułkownika Odrowąza. Czy wiecie, Golc, czym to pachnie.

To poskutkowało. Wystraszony pijak spojrział na Miłosza.

— Panie kapitanie, jak pragnę szczęścia, czasem to człowiek narozrabia, ale żeby zaraz mokra robota?!

— No więc, Golc, przypomnijcie sobie, jak to było.

— Dobrze, panie kapitanie, powiem jak na spowiedzi. Było tak: Poszliśmy we dwójkę z Robaczkiewiczem...

— Kto to jest Robaczkiewicz? — przerwał kapitan.

— Sąsiad... Pracuje w PZGS-ie. Więc poszliśmy na jeden głębszy „Pod Słonem“. On miał pięćdziesiąt złotych, a ja niewiele ponad dwie dychy. Wypiliśmy ćwiartkę. Zapiliśmy piwem — i koniec. Trzeba było wychodzić

— Która była godzina?

— Dochodziła dziesiąta. Wyszliśmy na ulicę. I tu spotkałem jednego kumpla z naszej fabryki.

— Kogo?

— Nowoczek. Pracujemy na jednym wydziale.

Obaj oficerowie spojrzeli na siebie znacząco.

— Nowoczek mówi: „Pewnie nie masz forsy na wódkę, chodź to ci postawię“. Wróciliśmy do „Słonem“. Myślałem, że on żartuje. Wyjął tysiąc złotych, zamówił trzy schabowe, trzy piwa, śledzie i ogórki. „Skąd masz forszę“ — zapytałem. Uśmiechnął się. Więc się pytam: „Co, chcesz jeść schaboszczaki? A gdzie wódka?“ „Mam ze sobą“ — powiedział. Poszliśmy z tym do mnie. Nowoczek wyjął dwie butelki wódki, takiej zagranicznej. Wypiliśmy we trzech. Przypomniało mi się, że Nowoczek jest mi winien pięćset złotych...

— Za co?

— Bo kiedyś, panie kapitanie, my tę cynę...

— Mówcie prawdę, Golc, nic wam nie będzie.

— No więc, panie kapitanie, kiedyś w sierpniu, my z Nowoczkiem...

— Rozumiem: opyliliście cynę na lewo. Co dalej?

— Nowoczek miał ją opylić. Dał mi górę, powiedział, że resztę da później. No i oddał właśnie wtedy. Piliśmy do rana. Miałem kaca i nie poszedłem do pracy. Pięćset złotych przepiliśmy z kolegami.

Kapitan kazał odprowadzić Golca do aresztu.

— Panie kapitanie, jestem aresztowany?

— Na razie tylko zatrzymany do wyjaśnienia.

— Czy pan sądzi, kapitanie — zapytał porucznik, gdy drzwi zamknęły się za Golcem — że Nowoczek istotnie zabił Odrowąza?

— Jest to zupełnie możliwe. Tylko Nowoczek mógł wiedzieć tyle o Odrowążu.

— Czy wysłaliśmy listy gończe?

— Na razie jeszcze nie. Ale trzeba zaawiadomić komendę wojewódzką, że poszukujemy Nowoczka. Poza tym należy obstarwić stację kolejową i dworzec PKS-u i dalej obserwować mieszkanie Leśniakowej.

Bar „Pod Słonem” był znany w mieście i milicji jako melina wszelkiego rodzaju mętów społecznych. Pojawienie się w lokalu dwóch umundurowanych oficerów MO wywołało lekkie poruszenie. Ten i ów odstawił nie dopite piwo i chyłkiem wychodził na ulicę.

Miłosz podszedł do lady, za którą tęga barmanka rozlewała wódkę.

— Czy zna pani niejakiego Golca? — zapytał.

— Znam. Nieraz prosi, żeby mu dać na kredyt setkę.

— Kiedy był tu po raz ostatni?

— Przedwczoraj. Wypił z jakimś drugim ówiartkę wódki i wyszli. Później wrócili w towarzystwie młodego chłopaka; nie znam go.

— Pili dalej?

— Nie, ten młody zamówił trzy schaboszczaki i coś tam jeszcze na wynos. Zawinęłam w papier; ten młody zapłacił.

— Czy pamięta pani, jakim płacił banknotem?

— Tak, tysiączłotowym.

— Na pewno?

— Na pewno. Tutaj, panie kapitanie, bywają tylko tacy klienci, dla których sto złotych to już suma. A takich z tysiączłotowym banknotem to rzadko widuję. Dla tego zapamiętałam.

— Dziękuję pani, do widzenia.

Ich wyjście zostało przyjęte przez zebranych z wyraźną ulgą.

Golec zajmował z żoną i czworgiem dzieci duże mieszkanie w bloku. Obdarłe i brudne dzieci ze strachem przyglądały się oficerom milicji. Mieszkanie było brudne,

niechlujne. Ani na strychu, ani w piwnicy nie było cyny.

Kapitan zapytał Golcową, kto ostatnio bywał u męża.

— Dwa dni temu przyszedł w nocy z takimi dwoma; pili do rana, a potem cały dzień.

— Jak oni się nazywają?

— A bo to ja ich znam, tych pijaków przeklętych? Tylko nieszczęście i bieda przez nich...

Wrócili do komendy. Dochodziła już godzina osiemnasta.

— Poruczniku, jutro rano pojedziecie do „Gottwalda” i przejrzyście dokładnie akta personalne Golca, Nowoczka i przy okazji Odrowąża — polecił wychodzącemu kapitan.

Miłosz został sam w gabinecie. Jeszcze raz przejrzał wszystkie akta. Poszlaki wskazywały na to, że Odrowąża zamordował Nowoczek. Zrabował pieniądze, złoty zegarek, dwie butelki wódki i uciekł. Potem spotkał się ze starym kompanem — Golcem. Wypili wódkę. Możliwe, że Golec poradził mu, by opuścił miasto, bo go tu szybko nakryją. To wszystko było logiczne i trzymało się kupy. Ale z drugiej strony, skąd Nowoczek wziął broń? Skąd przyszło mu do głowy, że należy starannie zacierać ślady: Czyżby nauczył się tego oglądając filmy kryminalne? Nie, to mało prawdopodobne. Gdyby Nowoczek chciał zrabować pieniądze, to łatwiej byłoby mu włamać się do willi pod nieobecność Odrowąża.

Kapitan wstał od biurka, przespacerował się kilka razy po gabinecie. Wszystko to się wyjaśni po ujęciu Nowoczka. A jeśli...

Zadzwoił telefon.

— Kapitan Miłosz.

— Tu oficer dyżurny. Kapitanie, czy Golca można zwolnić?

— Nie, na razie niech zostanie. Może to nawet dla jego dobra — dodał w myślach.

Dochodziła godzina ósma rano. Do kapitana zgłosił się profesor Gorczyca.

Gorczyca był z zawodu historykiem. Łą-

czyli go z pułkownikiem wspólne zainteresowania historią.

— Odrowąż miał dociekliwy, analityczny umysł, był jednakże amatorem. Brakowało mu znajomości metodyki. W swoich publikacjach popełniał błędy metodyczne. Nieraz pomagałem mu w pracy. Pułkownik nie był człowiekiem zarozumiałym i chętnie słuchał moich rad.

— Czy Odrowąż posiadał źródła archiwalne, z których korzystał? A może miał własne zbiory?

— Jedno i drugie. Jeździł do Warszawy i grzebał w archiwach i bibliotekach wojskowych. Wiem, że współpracował z Wojskowym Instytutem Historycznym. A poza tym miał własną bogatą bibliotekę. Władł biegle językiem niemieckim, angielskim i francuskim. Pozwalało mu to zapoznać się z obfitą zagraniczną literaturą historyczną. Przyznam się, że zazdrościłem mu tych zbiorów.

— A czy oprócz książek miał jakieś zdjęcia lub relacje z ostatniej wojny?

— O tak, i to bardzo bogate. Kiedyś mi je pokazywał. Kilkaset zdjęć i kilkadziesiąt relacji, od dnia 1 września aż do kapitulacji Niemiec...

— Przepraszam — wtrącił obecny przy przesłuchaniu porucznik Maksymiak. — Czy pan jest pewien, że Odrowąż posiadał relacje z września 1939 roku?

— Oczywiście, kiedyś je przeglądałem, było ich dziesięć, a może nawet dwanaście. Umieszczone w trzech skoroszytach. W pierwszej teczce znajdował się długi indeks autorów. Było podane imię i nazwisko, stopień wojskowy i krótka treść.

Obaj oficerowie spojrzeli porozumiewawczo na siebie. Tych trzech skoroszytów, wraz ze spisem relacji, w biurku Odrowąży nie było. Czyżby morderca zabrał je z sobą? Czy mogły one być motywem zbrodni? Niewykluczone, że pułkownik komuś je wypożyczył lub schował je w inne miejsce.

— Panie profesorze, czy pan nie pożyczął od pułkownika tych relacji?

— Nigdy. Pod tym względem Odrowąż był dziwakiem. Nigdy więc go o to nie prosiłem.

— Czy nie przypomina pan sobie nazwisk składających relacje z 1939 roku?

— Nie — odpowiedział Gorczyca po krótkim namyśle. — Czytałem je wprawdzie, a właściwie przeglądałem kilka lat temu. Niestety nazwiska wyleciały mi z głowy. No cóż, lata robią swoje.

— Rozumiem. Czy pańskim zdaniem pułkownik był człowiekiem zamożnym?

— „Zamożny“ to pojęcie względne. Pułkownik otrzymywał solidną emeryturę, dużo pisywał, i to mu zapewniło dostatnie życie.

— A czy miał biżuterię lub złoto?

— Chyba nie. Opowiadał mi, że przywiózł nieco kosztowności z Anglii, ale sprzedał je na budowę willi. Został mu, o ile mi wiadomo, złoty zegarek szwajcarski „Schaffhausen“.

Gorczyca pożegnał się i opuścił gabinet Miłosza. Kapitan zamyślił się. Zapalił papierosa i jakiś czas zastanawiał się.

— Czy na pewno w biurku Odrowąży nie było relacji z września?

— Na pewno. Biurko przejrzałem bardzo dokładnie. Niemożliwe, żebym nie zauważył trzech skoroszytów.

— Musimy wyjaśnić, czy zabrał je morderca, czy są schowane gdzie indziej. Trzeba więc, poruczniku, jeszcze raz pojechać do willi Odrowąży i zrewidować ją od strychu do piwnic. A potem wpadnijcie do „Gottwalda“.

W gabinecie zjawił się oficer dyżurny, meldując, że z kapitanem chce rozmawiać obywatelka Joanna Grobelna.

— Kto to taki?

— Siostra Odrowąży. Przyjechała z Warszawy.

— Prosić.

Odrowążowie pochodzili ze znanej wielkopolskiej rodziny ziemiańskiej. Przed pierwszą wojną światową była to rodzina bogata, chociaż nie zaliczała się do arystokracji. Po wojnie mocno podupadła. Zmniejszyła się ilość hektarów, nie było na czym gospodarować. Obaj bracia, Maurycy i Adam, poświęcili się więc karierze wojskowej.

Aby podreperować rodzinną schedę, Joanna Odrowąży wyszła za mąż za Alojzego Grobelnego. Ojciec jego, obrotny i

sprytny kupiec, dorobił się w latach pierwszej wojny na dostawach do armii pruskiej i kupił synowi, któremu zachciało się studiować agronomię, spory majątek ziemski. Sytuacja Odrowążów uległa poprawie. Ale nie na długo. Nadszedł rok 1939.

Hitlerowcy wyrzucili Grobelnych z majątku, do którego po reformie rolnej nie było już po co wracać. Grobelny nie stracił jednak głowy. Wziął się za prywatną inicjatywę. Zaczął od budki na bazarze Rózyckiego; teraz miał nieduży, ale elegancki sklep z galanterią na Chmielej.

Joanna Grobelna — wytwornie ubrana kobieta, dobrze po czterdziestce, obrotna, energiczna — wylewnie przywitała się z kapitanem, rozsiewając wokół silną woń perfum.

— Jestem Grobelna — przedstawiła się. — Siostra Maurycego Odrowąza. — Otarła łyzy delikatnie, żeby nie rozmazać makijażu. — Co za nieszczęście! Nie mogłam uwierzyć, kiedy dostałam depezę. Nie wpuszczono mnie do willi brata. Polecono mi zgłosić się do pana kapitana.

— Pozwoli pani, że złożę kondolencje. — Kapitan z szacunkiem ucałował jej dłoń. — Dla nas to wielka strata: pan pułkownik był chlubą naszego miasta. Co do willi, to zwykła formalność. Wydam polecenie oficerowi prowadzącemu śledztwo, by cały majątek protokolarnie przekazał pani.

— Dziękuję panu, panie kapitanie. Czy jesteście już, panowie, na tropie mordercy?

— Ze względu na dobro śledztwa nie pani na razie nie mogę powiedzieć. Chciałem natomiast, by pani mi udzieliła pewnych informacji o bracie. Rozumiem, że w takim momencie nie jest to dla pani przyjemne, ale...

— Panie kapitanie, świetnie to rozumiem, proszę pytać.

— Czy pani często widywała się z bratem?

— Bardzo rzadko. Nam z mężem trudno wyjeżdżać z Warszawy: trzeba pilnować interesu. A brat przyjeżdżał do Warszawy raz, najwyżej dwa razy, do roku. Zawsze w sprawach wydawniczych. Czasem na kilka dni, czasem na tydzień, i wracał.

— Czy pani interesowała się twórczością pułkownika?

— Nie bardzo. Nie miałam na to czasu, a poza tym to, co on pisywał, było dla mnie za mądre. To nie lektura dla kobiety.

— Rozumiem. Kiedy brat był ostatni raz w Warszawie?

— Wiosną tego roku.

— Czy nic u państwa nie zostawił? Na przykład jakiejś teczki? Maszynopisu? Może fotografii?

— Nie, skądże! Maurycy był tak zazdrosny o swoje historyczne materiały, że nie pozwolił nikomu ich dotykać.

— Czy pułkownik utrzymywał kontakty z bratem Adamem?

Pani Joanna zamyśliła się, jakby coś sobie przypomniała.

— Owszem, utrzymywał. Ale rok temu kontakt ten urwał się.

— A państwo korespondują z nim?

— Tak.

— Co porabia pan Adam Odrowąz?

— Jest właścicielem dużego sklepu w Londynie.

— Przysyła państwu paczki?

— Tak, oficjalnie. Zawsze opłacam cło.

— To mnie nie interesuje. Proszę mi powiedzieć, dlaczego rok temu pułkownik zerwał kontakty z bratem?

— Adam przyjechał wtedy samochodem do Polski. Po raz pierwszy po wojnie. Dwa tygodnie był u nas. Wyjechaliśmy z nim na Mazury, do Gdańska, Poznania; potem on pojechał do Maurycego.

— Tu, do Świerczewa?

— Nie. Powiedział, że nie chce tu przyjeżdżać, bo może to zaszkodzić Maurycemu. Spotkali się we Wrocławiu, u niejakiego Hulewicza... to kolega Adama z Anglii. Powiem panu szczerze, panie kapitanie, ten Hulewicz po powrocie z Anglii miał jakąś sprawę sądową. Siedział kilka lat. Nie podobało mi się, że Adam chce się z nim spotkać, ale twierdził, że musi go zobaczyć.

Pojechał i już do nas nie wrócił. Otrzymaliśmy od niego kartkę z Poznania. Pisał, że wyjeżdża z powrotem do Londynu, bo wzywają go pilne interesy. Więcej go nie widzieliśmy. Potem Maurycy, kiedy

bywał u nas, nie chciał nigdy rozmawiać o Adamie — nie wiem dlaczego. To wszystko, co mogę powiedzieć.

— Dziękuję pani. Gdzie się pani zatrzymała?

— Mieszkam w hotelu. Poczciwy ksiądz kanonik osobiście zajął się pogrzebem.

— Postaram się dopilnować, by przekazano pani willę pułkownika.

Dama zniknęła, pozostawiając po sobie w pokoju zapach drogich perfum. Sprawa Hulewicza nie była kapitanowi obca. Przed laty na Dolnym Śląsku wiele o tej historii mówiono i pisano. Nie pamiętał jednak szczegółów. Postanowił w poniedziałek rano pojechać do Wrocławia, odszukać Hulewicza i porozmawiać z nim na temat braci Odrowążów. Nie wątpił, że czegoś się tam dowie.

Wizyta porucznika w willi Odrowąży trwała ponad godzinę. Wraz z milicjantem spenetrowali dom od strychu po piwnice. Zaglądali do szaf, skrzynek i pudełek: nigdzie nie natrafili na ślad skoroszytów. Pozostały dwie możliwości: albo relacje zabrał ze sobą morderca, albo — co było mało prawdopodobne — Odrowąż je komuś wypożyczył.

Z szosy wrocławskiej skręcił do zakładów im. Gottwalda, mieszczących się na przedmieściu, w pobliżu stacji kolejowej. Porucznik pokazał wartownikowi legitymację służbową i udał się do działu kadr. Tam poprosił kierownika kadr o akta personalne Maurycego Odrowąży.

— On kiedyś u was pracował — wyjaśnił.

— Tak, wiem. Zaraz znajdę akta. Pod tym względem mój poprzednik był bardzo pedantyczny.

Istotnie, po kilku minutach wyjął z jednej z szaf teczkę z danymi Odrowąży. Porucznik po kolei przeglądał akta: podanie, ankieta personalna, dokładny przebieg służby wojskowej. I wreszcie jedyna praca cywilna w Zakładach Mechanicznych imienia Gottwalda. Dalej opinia: „Bardzo dobry pracownik, sumienny i energiczny...”

— Poproszę jeszcze o akta Golca i Nowoczka.

Jak to było do przewidzenia, w aktach Golca nic dobrego nie wyczytał. Dwa razy sądownie karany, w pracy same ostrzeżenia i nagany.

— Dlaczego trzymacie takiego pracownika?

— Cóż robić? — Pawlicki rozłożył ręce.

— Brak rąk do pracy.

— A Nowoczek?

— To zupełnie niezły pracownik. Ma ukończoną zasadniczą szkołę. Niestety, wpadł w złe towarzystwo.

— Golca?

— Tak, właśnie Golca.

— Dziękuję panu za informacje.

— Proszę bardzo. Pan jedź do miasta?

— Tak.

— Jeśli pan pozwoli, zabiorę się z panem. Jadę do komitetu miejskiego.

Oba komitety partii — miejski i powiatowy — mieściły się w jednym gmachu, naprzeciwko komendy powiatowej MO. Gdy się zatrzymali, Pawlicki zaprosił porucznika na kawę do barku w budynku komitetu.

Przy kawie Pawlicki rozgadał się na temat morderstwa. Mówiło już o tym całe miasto. Krążyły plotki, że u pułkownika zrabowano dużo złota, dolarów i innych kosztowności.

— Ile w tym prawdy? — dopytywał się Pawlicki.

— Coś tam zrabowano — odpowiedział porucznik — a ile, to wykaże śledztwo.

Miłosza zastał porucznik siedzącego przy biurku, pogrążonego w głębokiej zadumie.

— Co tam ciekawego? — zapytał wchodzącego Maksymiaka.

— Nic, skoroszytów nie znalazłem, akta personalne nic nowego nie wniosły.

— Spodziewałem się tego. Siostra Odrowąży potwierdziła, że brat jej nikomu nie wypożyczał relacji; poza tym dowiedziałem się, że rok temu spotkał się ze swoim bratem Adamem we Wrocławiu u niejakiego Hulewicza. W poniedziałek rano pojedę w tej sprawie do Wrocławia, a pan tu na miejscu dalej poprowadzi śledztwo.

Sledztwo! Miłosz doskonale zdawał sobie sprawę, że ugrzęźli w martwym punkcie, tak samo, jak i był pewien, że morderca zabrał skoroszyty z wrześnieowymi relacjami. Po co je zabrał? Któraś z tych relacji obciążała mordercę. A Nowoczek? Morderca mógł celowo skierować podejrzenie na Nowoczka lub też działać z nim w zмовie. Jaką rolę odgrywa tu Górniak? Kapitan godzinę temu telefonował do Bolechowa: Górniak jeszcze nie wrócił. Nie figurował również w ewidencji koła ZBoWiD-u. Cóż jednak mogło się znajdować w relacji obciążającej Górniaka czy też kogoś innego? Dlaczego Odrowąż, spotykając się od lat z Górniakiem, nie wyciągnął konsekwencji wcześniej?

Górniakowa twierdzi, że jej przysły małż zjawił się z Odrowążem i kilkoma innymi żołnierzami zimą 1939 roku, zachorował, został — potem poszedł do partyzantki. A może wyglądało to inaczej? Dlaczego Górniak przyjechał z żoną-Słowenką do Polski? Powiedzmy, że Odroważ nic o tym nie wiedział. Nagle któryś z jego towarzyszy broni dowiaduje się, że Górniak wcale nie walczył w partyzantce, a był powiedzmy, kolaborantem. Piszę o tym do Odrowąża. Odroważ udaje się do Górniaka i mówi mu o tym. Górniak, by zachować własną skórę, morduje Odrowąża i ucieka, zabierając czy też niszcząc relacje, do których Odroważ mógł dołączyć ów list.

To są tylko domysły. Nawet nie poszlaki. A jaka jest rola Nowoczka? Mogli się znać z Górniakiem. Czy Górniak jest na tyle inteligentny, że potrafiłby skierować śledztwo na fałszywy tor?

Kapitan zgasił światło i opuścił gabinet.

W niedzielę po południu, gdy Miłosz śledził na telewizyjnym ekranie „Czterech pancernych“, rozległ się dzwonek telefonu. Kapitan przyciszył nieco telewizor i podniósł słuchawkę.

— Słucham. Miłosz przy telefonie.

— Tu oficer dyżurny. Melduję, obywatelu kapitanie, że w lesie za torami kolejowymi znaleziono zmasakrowane zwłoki mężczyzny.

— Czy powiadomiliście porucznika Maksymiaka?

— Tak, już tam pojechał.

— Dobrze. Przyslijcie po mnie samochód.

Wyłączył telewizor i zawiadomił krzątającą się w kuchni żonę, że wychodzi.

— Jak to? A obiad? Przecież dziś niedziela.

— Obiad zjem później. A jak wiesz, w milicji niedziel nie ma.

Włożył czapkę i wyszedł. Przed dom podjechała służbowa warszawa.

Zwłoki znaleziono w krzakach nad rzeką. Wiodła tamtędy ścieżka ze stacji kolejowej do szosy na Bolechowo, skracająca drogę o około pół kilometra. Zamordowany był w bieliźnie i miał całkowicie zmasakrowaną twarz.

— Kto odkrył zwłoki?

— Dzieci, które bawiły się nad rzeką.

— A kto zawiadomił milicję?

— Jakiś kolejarz, któremu dzieci powiedziały o swym odkryciu.

— Czy ślady zostały zabezpieczone?

— W miarę możliwości. Zanim przyjechaliśmy, zebrał się tłumek ciekawskich — objaśniał porucznik.

Miłosz poszedł do grupy wywiadowców, badających ścieżkę.

— Morderstwo zostało dokonane prawdopodobnie w tym miejscu — powiedział jeden z milicjantów. — Denat wracał uderzeniem ze stacji kolejowej. Morderca uderzył go w tył głowy tępym narzędziem.

Obok ścieżki było widać niewielką wilgotną plamę krwi. Na podstawie widocznych śladów, połamanych gałązek i leśnego poszycia ustalono położenie ofiary w chwili upadku. Morderca przeciągnął trupa w dół w stronę rzeki. Tu już ślady były bardzo wyraźne. Koło krzaków rozebrał zwłoki, zaciągnął w krzaki i zmasakrował twarz, by uniemożliwić lub przynajmniej utrudnić identyfikację.

Pomimo żmudnych, wielogodzinnych poszukiwań, w pobliżu miejsca zbrodni nie znaleziono żadnych przedmiotów. Przybyły lekarz potwierdził, że śmierć nastąpiła wskutek uderzenia tępym narzędziem w tył głowy, około trzydziestu godzin temu.

— Będziemy mieli trudności z identyfikacją — zauważył porucznik.

— Żadnych trudności — odpowiedział Miłosz. — To jest albo Górniak, albo Nowoczek. Mam już pewną gotową koncepcję, która, niestety, właśnie zaczyna się sprawdzać.

Sprawdzono psa milicyjnego. Pies obwąchał zwłoki, bieliznę zmarłego, po czym zdecydowanie podążył ścieżką w stronę szosy. Nie dochodząc do drogi, skręcił w prawo przez pole w kierunku widocznego gospodarstwa. Doszedł do dziury w żywopłocie, wszedł do ogrodu i zatrzymał się w altance drapiąc niecierpliwie łapą drewnianą podłogę. Oderwano klepki. Pod spodem leżał ortalionowy płaszcz i ubranie.

Gospodarstwo należało do komendanta straży przemysłowej zakładów im. Gottwalda. Gdy przyprowadzono go przed oblicze Miłosza, nie potrafił wyjaśnić, jakim sposobem rzeczy te znalazły się w jego altance.

— Przypuszczałem, że nic nie będzie wiedział — mruknął kapitan. — Przeszukajcie ubranie — rozkazał.

W lewej kieszeni płaszcza znaleziono zniety bilet PKP z datą 3 września. Stacją docelową była miejscowość, gdzie przed wojną stał garnizonem pułk kawalerii rotmistrza Odrowąża.

— Ściągnijcie tu żonę Górniaka — polecił kapitan.

Górniakowa rozpoznała ubranie męża.

W drodze powrotnej na dworcu kapitan przestudiował uważnie rozkład jazdy.

— Poruczniku, musicie udać się śladami Górniaka i dowiedzieć się, do kogo on jeździł. Nie mam wątpliwości, że tam tkwi tajemnica obu zbrodni.

— Obu?

— Tak, obu. Przypuszczam, że ten sam morderca zabił Odrowążę i Górniaka. Musimy wszystko zrobić, by nie dopuścić do trzeciego morderstwa.

— A kto miałby być trzecią ofiarą?

— Nowoczek. To łatwo sobie wydedukować: Nowoczek albo zamordował Odrowążę z czyjegoś polecenia, albo był w to wmieszany. Mordercy w jakiś sposób uda-

ło się go skłonić do wyjazdu z miasta i teraz czeka, by go po powrocie zabić!

— Albo już to zrobił!

— I to możliwe. Założmy jednak mniejsze zło. Po zniknięciu Nowoczka morderca dowiaduje się, że Górniak z polecenia Odrowąży gdzieś wyjechał. Łatwo mu się było domyślić gdzie i po co: ma przecież w rękę wrześnieowe relacje. Studiuje rozkład jazdy i dochodzi do wniosku, że w kierunku Poznania. Najlepsze połączenie ma pociąg przyjeżdżający do Swierczewa o trzeciej trzydziści.

Czatuje na dworcu, idzie za Górniakiem i zienacka zadaje mu cios w głowę. Zawleka go w krzaki i zdejmuje ubranie, dokumenty zabiera ze sobą, a ubranie ukrywa w altance Jędrzejczaka, aby na niego skierować podejrzenie.

— Wyklucza więc pan kapitan ewentualność, że Nowoczek zamordował Odrowążę z przyczyn rabunkowych?

— Tak, inaczej niejasne byłyby motywy zabicia Górniaka.

— Mam jechać zaraz?

— Tak, musicie się spieszyć. O ile już nie jest za późno...

Maksymiak dojechał do celu późną nocą. Przenocował z kierowcą w gościnnym pokoju komendy MO. Rano od razu przystąpił do dzieła. Zaczął od miejscowego koła ZBoWiD-u.

Młoda dziewczyna nie знаła nikogo z przedwojennego pułku ułanów. Nie słyszała nic o takim pułku. Dowiedziawszy się, że przewodniczący koła jest kolejarem, porucznik udał się na stację kolejową. Znalazł tam przewodniczącego, zatrudnionego w wydziale mechanicznym.

— Ma pan szczęście — powiedział, gdy porucznik wyłożył mu cel swojej wizyty. — Za pół godziny jadę do Poznania. A co do żołnierzy przedwojennego pułku ułanów, to, niestety, w kole nikogo nie mamy. Należał kiedyś porucznik Olszowski, ale zmarł kilka lat temu. O ile wiem, w jednej z pobliskich wiosek mieszka starszy wachmistrz Olejnik. Zdaje się, że on służył w tutejszym pułku ułanów.

— Jak można do niego trafić?

— Musi pan pojechać do miejscowości Brzozów; dwanaście kilometrów w stronę Poznania. Tam niech się pan zgłosi do dróżnika, on już pana poinformuje, gdzie mieszka Olejnik.

Porucznik podziękował za informacje i ruszył we wskazanym kierunku. Za dużą węzłową stacją kolejową skręcili w lewo i mknęli dobrze utrzymaną asfaltową szosą. Minęli kilka niewielkich wsi, aż ukazał się napis „Brzozów”. Po kilku minutach warszawa zatrzymała się przed przejazdem kolejowym. Porucznik wszedł do budki dróżnika.

— Dzień dobry. Podobno pan mógłby nam powiedzieć, gdzie mieszka pan Olejnik?

Starszy, wąsaty kolejarz przyglądał mu się nieufnie:

— Czego pan od niego chce?

— Jestem z milicji. — Porucznik podsunął mu pod nos legitymację służbową.

— A jeżeli tak, to co innego. Wyjdziemy, to pokażę panu. Trzeba iść tą drogą, wzdłuż toru. Czwarte gospodarstwo... o, widać takie wysokie topole... to Olejnika.

Warszawa wjechała na twardą, ubitą drogę polną. Kilkaset metrów jazdy, i samochód zatrzymał się przed średniej wielkości, dobrze utrzymanym gospodarstwem. Na środku podwórza stał starszy, postawny mężczyzna i zaprzęgał konia do wozu. Już na pierwszy rzut oka można było poznać w nim byłego kawalerzystę. Nogi miał lekko kablakowate, a koń był tak wypucowany, że najbardziej wymagający dowódca nie miałby do czego się przyczepić.

— Dzień dobry — powiedział porucznik. — Czy mam przyjemność rozmawiać z panem Olejnikiem?

— Tak. To ja.

— Czy pan zna pułkownika Maurycego Odrowąża?

— A jakże. W trzydziestym dziewiątym byłem szefem w jego szwadronie.

— A czy pan wie, że pułkownik nie żyje?

— Nie żyje!? Co się stało? W zeszłym tygodniu przyjeżdżał tu od niego kapral Górniak.

— Górniak też nie żyje. Obaj zostali

zamordowani. Jestem porucznikiem milicji, prowadzę śledztwo w tej sprawie. Przyjechałem do pana, ażeby uzyskać pewne informacje.

— Ależ oczywiście, bardzo proszę. Słuchę informacjami. Chodźmy do środka, nie będziemy przecież rozmawiali na podwórzu. Wacek! — zawołał do kogoś niewidocznego. — Wyprzęgaj Talara, nie jadę do miasta.

Pokój był duży, widny, czysto utrzymany. Na ścianie, na widocznym miejscu, wisiała ułańska rogatywka z żółtym okiem, a nad nią szabla. Dalej liczne fotografie Olejnika z różnych okresów służby wojskowej i kilka zdjęć koni wierzchowych. Usiedli przy stole, porucznik wyjął brulion.

— Może po kolei — zaczął. — Wiem, że pan był szefem szwadronu rotmistrza Odrowąża. A jakie funkcje pełnił Górniak?

— Górniak był kapralem rezerwy. Pochodził z Wołynia i służył w dziewiętnastym pułku ułanów. U nas w pułku było sporo Niemców — tutejszych: polskich obywateli. W czasie mobilizacji dostali skierowanie na wschód, a na ich miejsce przyszli rezerwiści z pułków wschodnich. Jednym z nich był właśnie Górniak.

— Tak, rozumiem. A teraz proszę opowiedzieć o sobie. Od kiedy pan służył w pułku?

— Od powstania pułku, od stycznia 1919 roku. Nazywał się wówczas 3 Pułk Ułanów Wielkopolskich. Wstąpiłem jako osiemnastoletni ochotnik. Nosiliśmy niemieckie zdobyczne mundury, ozdobione orzełkami. Tu, w tym rejonie, toczyliśmy walki z *freiwillingami*.

Po zawarciu pokoju pułk pozostał w mieście aż do wybuchu wojny. W ciągu tych dwudziestu lat dosłużyłem się stopnia starszego wachmistrza, szefa szwadronu u rotmistrza Odrowąża.

— Można powiedzieć, że jest pan żywą kroniką pułku. Na pewno zna pan wielu ludzi z miasta i okolicy?

— Ba! Znałem, panie poruczniku, wszystkich. A i wielu znało starszego wachmistrza Olejnika. Sam pan generał, dowódca brygady, znał mnie z nazwiska.

— Niech pan wobec tego opowie, jak to było w czasie kampanii jesiennej 1939 roku.

— U nas się zaczęło już w lipcu. Granica przechodziła wtedy około dziesięciu kilometrów od miasta. Kiedy Niemcy zaczęli urządzać prowokacje na granicy, ogłoszono w pułku stan alarmowy i kilka plutonów wysłano dla wzmocnienia strażnicy granicznej. Trzeci pluton z naszego szwadronu wysłano do wsi Dębowa. Plutonem dowodził porucznik Radziejowski, a ja zostałem jego zastępcą. Wie pan co, panie poruczniku, a może byśmy tak pojechali do Dębowej. Pokazałbym w terenie, co się tam działo 2 września. To niedaleko stąd. Jakies dwadzieścia kilometrów.

— Chętnie pojedę — zgodził się porucznik.

W kilka minut później mknęli szosą w kierunku miasta. Przejechali obok dużych bloków z czerwonej cegły.

— Tu przed wojną były koszary naszego pułku. Wybudowali je Niemcy przed pierwszą wojną. Teraz kawaleria nikomu nie potrzebna. Budynki koszarowe i stajnie zajmuje PZGS na magazyny. Pierwsza ulica w prawo, panie kierowco — objaśniał Olejnik.

Po chwili wyjechali z miasta na szosę, wijącą się w podmokłym lesie dębowym. Było pusto: ani śladu pojazdu. Po kilku kilometrach las się skończył. Dojeżdżali do wsi.

— Zatrzymajmy się tu na chwilę — powiedział Olejnik.

Warszawa stanęła na niewielkim wzniesieniu, odległym około kilometra od wsi.

— Dzisiaj wieś Dębowa niczym specjalnie nie różni się od innych polskich wsi — opowiadał Olejnik. — Ale przed wojną było inaczej. Środkiem wsi biegła granica: zachodnia część wsi należała do Niemiec, a wschodnia do Polski.

— Czyżby po zachodniej stronie mieszkali sami Niemcy, a po wschodniej Polacy?

— Nie. W styczniu i lutym 1919 roku toczyły się tu zacięte walki. Niemcy mieli spory garnizon w Görstadt, o tam, gdzie widać kościół za lasem. — Na zachodzie

błyszczała w jesiennym słońcu barokowa kopuła. — W czasie tych walk Dębowa przechodziła z rąk do rąk kilka razy. W pierwszych dniach lutego *freiwilīgi* z Görstadt doszli do tego miejsca. Po kilkugodzinnej walce udało się nam wyrzucić Niemców za strumień płynący środkiem wsi. Na dalszą walkę zabrakło nam sił. Zanim nadeszły posiłki, zawarto rozejm. A jak wiadomo, linia przzerwiania ognia stała się potem polsko-niemiecką granicą. Tak więc zachodnia część wsi nazywała się Eichendorf i należała do Reichu, a wschodnia — Dębowa — należała do Polski.

Oficjalnie przejścia granicznego tu nie było, tylko tak zwany mały ruch graniczny. Było to nieuniknione: po jednej i drugiej stronie strumienia mieszkaly przemieszczone polsko-niemieckie rodziny. Bywało tak, że Niemiec mieszkający w Dębowej miał szwagra Polaka w niemieckiej części wsi. Lub na odwrót. W tych warunkach trudno się było zorientować, kto jest Polakiem, a kto Niemcem. Jedźmy dalej.

Podjechali do środka wsi, zatrzymując się nad małym strumieniem za przepustem na szosie. Po jednej i drugiej stronie strumienia stały takie same zabudowania. Olejnik opowiadał dalej:

— Gdy przybyliśmy tu w lipcu, po drugiej stronie granicy stał pluton niemieckiej piechoty. My też się zatrzymaliśmy. Staliśmy w milczeniu z pół godziny. Pierwsi nie wytrzymali Niemcy: wycofali się, ale zostawili na środku drogi cekaem z obsługą. To samo kazał nam zrobić porucznik Radziejowski. Ustał ruch graniczny, a po obu stronach stały dwa wycelowane w siebie cekaemy. Zajęliśmy kwatery w wiosce, dniem i nocą patrolując granicę. Pewnego dnia, było to na początku sierpnia, wezwał mnie do siebie porucznik Radziejowski. „Wachmistrzu — powiedz mi. — W naszym plutonie jest szpieg!“. „Niemożliwe, panie poruczniku!“ — mówię. „Niestety, możliwe. Kilku mieszkańców Dębowej meldowało, że ktoś sygnalizuje latarką na drugą stronę. Widziano też polskiego żołnierza przechodzącego w nocy granicę. Któż by to mógł być, jak nie szpieg. Musimy wykryć zdrajcę“.

Nie było wątpliwości, że to zdrajca. Musiał to być jeden z tych, co to ni Polak, ni Niemiec... Zależy skąd wiatr wieje. A wiadomo, że taki najgorszy. Uprzedziłem kilku pewnych ułanów, żeby mieli otwarte oczy. Wśród nich również kaprała Górniaka.

W końcu sierpnia, już po ogłoszeniu mobilizacji, jeden z ułanów zameldował, że podejrzewa o szpiegostwo kaprała Radaca. Podobno kontaktował się z niemieckimi gospodarzami. Zameldowałem o tym porucznikowi Radziejowskiemu, a następnego dnia nad granicę nadciągnęła reszta szwadronu. Rotmistrz Odrowąż polecił inwigilować Radaca.

— Kim był Radac? — przerwał porucznik.

— Kapralem służby czynnej. Pochodził ze spolszczonej niemieckiej rodziny. Mieszkało tu wielu różnych Müllerów i Sztajnowów... Istotnie, stwierdzono, że Radac był u pewnego Niemca.

Pierwszego września rano dowiedzieliśmy się, że wybuchła wojna. Tu się nie nie działo. Czujki zameldowały, że pluton piechoty wycofał się do lasu. Rotmistrz kazał nam przekroczyć granicę. Przeszliśmy na drugą stronę strumienia i zajęliśmy zachodnią część Dębowej. Miejscowi Polacy witali nas z radością, a Niemcy ze źle maskowaną nienawiścią. Pluton niemieckiej piechoty okopał się na skraju lasu, ostrzeliwując nas z cekaemów. Tak minął pierwszy dzień wojny.

Wieczorem rotmistrz Odrowąż zarządził odprawę, oznajmiając, że nazajutrz o świcie mamy wykonać wypad na Görstadt. Szwadron zostanie wzmocniony plutonem cekaemów, konną baterią i plutonem tankietek.

Akcją kierował rotmistrz Odrowąż. O świcie odezwała się nasza artyleria. Bateria ustawiona za wioską ostrzelała las. Potem ruszyliśmy do natarcia. Na skraju lasu zastaliśmy okopaną kompanię Wehrmachtu. Po godzinnej walce opanowaliśmy las, a Niemcy wycofali się do Görstadt. Zdobyliśmy nieco sprzętu i kuchnię polową. W szwadronie zapanowała radość, jak byśmy co najmniej zdobyli Berlin. Z zachodniego skraju lasu widzieliśmy jak

na dłoni Görstadt. Na skraju miasta widniały niemieckie umocnienia polowe, ujadaly cekaemy i od czasu do czasu bębniła artyleria. Na rozpoznanie poszły tankietki, a bateria ostrzeliwała miasto.

Wyniki rozpoznania nie były pomyślne. Zdaniem czołgistów, na skraju Görstadt znajdował się silnie okopany batalion piechoty. Nie było mowy o opanowaniu wsi. Po południu nadszedł z dowództwa pułku rozkaz, by się wycofać.

Rozkaz — to rozkaz. Z ciężkim sercem przystąpiliśmy do jego wykonania. Nasz pluton wycofał się ostatni. Doszliśmy do Dębowej, gdzie stały od rana konie. Kaprał Górniak dowodzący koniowodnymi zameldował porucznikowi Radziejowskiemu, że jeden z koniowodnych zdezerterował. To był kaprał Radac. A więc nie zdrajca, a zwykły tchórz — pomyślałem. Było jednak jeszcze gorzej.

Wycofaliśmy się na skraj naszego miasta garnizonowego. Tu doszły nas słuchy, że niemieckie lotnictwo kilkakrotnie bombardowało stację kolejową i koszarę. Jest wielu zabitych. Przeprowadzono gorączkową ewakuację władz i nadwyżek mobowych. Potwierdził to rozkaz dowódcy pułku na dzień 3 września: w godzinach popołudniowych mamy dołączyć do reszty pułku i rozpocząć odwrót na wschód.

Proponuję, żebyśmy teraz pojechali do naszego garnizonowego miasta; tam się rozegrała reszta wypadków.

Kierowca z trudem zawrócił na wąskiej szosie i ruszył z powrotem. Zatrzymaliśmy się na przedmieściu zabudowanym jednorodziennymi domkami i willami.

— Miasto to — podjął swe opowiadanie Olejnik — w przeciwieństwie do większości miast polskich, nie zmieniło się. Tak samo wyglądało trzydzieści lat temu. Stanęliśmy tu na ubezpieczonym postoju. Niemcy w dalszym ciągu nie pokazywali się, nikt nas nie ścigał. Około godziny siedemnastej przykłusewał goniąc z dowództwa pułku z rozkazem: Mamy natychmiast się wycofać na wschodnie przedmieście i połączyć z resztą pułku.

Rotmistrz zarządził odwrót plutonami. Nasz pluton szedł w straży tylnej. Naj-

pierw wycofał się pluton pierwszy, potem drugi... Porucznik Radziejowski po-
dał komendę: „Do wsiadania! Na koni!
Stępem marsz!” Czoło naszego plutonu
dochodziło do tego skrzyżowania. I wte-
dy zaczęła się strzelanina. Padły serie z pi-
stoletu maszynowego. Zawróciłem konia
w tamtą stronę. Na bruku leżało kilku za-
bitych — wśród nich porucznik Radzie-
jowski. „Panie wachmistrzu! — zawołał
ułan. — Strzelają z tego okna!”

Olejnik wskazał na dużą willę z pru-
skiego muru, ozdobioną ganeczkami, wy-
kuszami i portykami.

— Okno w tym wykuszu było otwarte.
Wyciągnąłem visa i rzuciłem się w kie-
runku furtki prowadzącej do willi.

Drzwi do willi były zamknięte. Prze-
biegłem na drugą stronę szukając drugie-
go wejścia. Zobaczyłem taras. „Uwaga!”
— zawołał ułan w tym samym momen-
cie.

Rozejrzałem się. Przy furtce ogrodowej,
nie dalej jak trzydzieści metrów, stał Ra-
dac. W polskim mundurze, bez czapki —
w rękach trzymał niemiecki pistolet auto-
matyczny. Właśnie się składał, by wygar-
nąć do mnie. Strzeliłem z visa kilka razy
w jego kierunku. Niestety, chybiłem. Ra-
dac zniknął.

Wróciłem na ulicę. Nad ciałem porucz-
nika Radziejowskiego stał rotmistrz Odro-
wąż.

Złożyłem mu meldunek.

— Kim był właściwie porucznik Radzie-
jowski — przerwał Olejnikowi Maksy-
miak.

— Odrowąż miał tu narzeczoną, pannę
Wiloch, córkę lekarza. Mieli się pobrać
latem, aż tu nagle panna się rozmyśliła i
wyszła za Radziejowskiego.

— Co było dalej?

— Potem wycofaliśmy się na wschodni
skraj miasta. Po drodze jeszcze kilka razy
ostrzeliwali nas dywersanci. Tym razem
obyło się bez strat. Widziałem, że rot-
mistrz bardzo się przejął śmiercią Radzie-
jowskiego. „Gotowi mnie posadzić — po-
owiedział — że ja się do jego śmierci przy-
czyniłem“.

W dziesięć dni później zaczęła się bit-
wa nad Bzurą. Nasz pułk wyszedł z niej

zdziiesiątkowany. Resztki szwadronu prze-
biły się do Warszawy. Po ogłoszeniu ka-
pitulacji rotmistrz postanowił, że do nie-
woli nie pójdzie. Chciał w cywilnym ubra-
niu przedostać się na Węgry. Zebrało się
kilku ochotników — wśród nich Górniak
i ja. Zaczęliśmy wędrówkę w końcu paź-
dziernika. W grudniu byliśmy już na Wę-
grzech, a w styczniu w Jugosławii.

W czasie przeprawy przez rzekę Gór-
niak wpadł do wody i dostał zapalenia
płuc. Zaopiekował się nim miejscowy
gospodarz. Górniak został, a reszta wraz
z rotmistrzem przedostała się przez Wło-
chy do Francji. Rotmistrza wzięli do puł-
ku zmotoryzowanych ułanów. Dla nas
miejsca już zabrakło. Poszliśmy więc do
piechoty.

W czerwcu 1940 roku, po rozbiciu na-
szej dywizji, dostałem się do niewoli nie-
mieckiej. Wywieźli mnie na roboty pod
Berlin. W kwietniu 1945 roku zostałem
wyzwolony przez polskich żołnierzy i wró-
ciłem do kraju. Trzy lata służyłem w
wojsku. Potem się zwolniłem. Umarł aku-
rat ojciec. Przejąłem po nim gospodar-
stwo. No i jakoś się żyje — zakończył.

— Czy z pułkownikiem Odrowążem wi-
dział się pan od tego czasu?

— Nie widziałem go od wiosny 1940
roku. Spisał wówczas moją relację z
trzydziestego dziewiątego roku — opisa-
łem w niej dokładnie zdradę Radacza. Po
wojnie dowiedziałem się, że Radac słu-
żył w niemieckiej policji. Co się potem
z nim stało — nie wiem. Nie wiedziałem
również, gdzie się obraca Odrowąż. Aż tu
nagle, jakiś tydzień temu, zjawił się u
mnie Górniak...

— Skąd miał pański adres?

— On nie znał mojego adresu. Przyje-
chał tu z polecenia pułkownika Odrowąża.
Poszedł na tak zwaną „kolonię podoficer-
ską“. Od lat tam wprawdzie nie mieszkam,
ale pamiętano jeszcze starszego
wachmistrza Olejnika... Ucieszyłem się na
widok Górniaka. Opowiedział mi, że brał
udział w jugosłowiańskiej partyzantce, a
po wojnie wrócił do Polski z córką gospo-
darza. Dostał na Śląsku ładne gospodar-
stwo. W Jugosławii nauczył się sadownic-
twa i w Polsce prowadził wraz z żoną

wzorowe gospodarstwo sadownicze. Kilka lat temu spotkał się z Odrowążem. Okazało się, że są sąsiadami. Od tego czasu często się widywali.

Siedząc w samochodzie, porucznik skrzętnie notował w brulionie.

— Dwa tygodnie temu — ciągnął Olejnik — do Górniaka przyjechał Odrowąż. Był podenerwowany i czymś silnie wzburzony. Okazało się, że spotkał w mieście Radacę. W pierwszej chwili nie poznał go. Tylko twarz wydawała mu się znajoma. Zanim go sobie przypomniał, Radacę zniknął. Na próżno szukał go po całym mieście. Po kilku dniach spotkał go znowu. Tym razem podszedł do niego i powiedział: „Dzień dobry, panie Radac”. Tamten spojrzał na niego zdziwiony. „Nie nazywam się Radac — powiedział. — To omyłka”. Odwrócił się i odszedł.

Pułkownik chciał, aby Górniak pomógł mu zidentyfikować Radacę. Górniak nie był pewien, czy go pozna, bo krótko służył w szwadronie. Ale powiedział, że jest przekonany, że poznałby go starszy wachmistrz Olejnik. Zaofiarował się, że postara się mu odszukać. No i tak tu trafił.

— I co uradziliście?

— Ja to od razu chciałem jechać, złapać tego skurwiela, ale ustaliliśmy, że to nie ma sensu. Bo nie wiadomo, czy Radacę nie uciekł. Uradziliśmy więc, że po powrocie Górniak razem z Odrowążem pójdą na milicję i złożą meldunek. Jak któryś z nich spotka Radacę — to za hanc i na milicję. I wtedy mnie zawiadomią. A ja już go poznam!

— Widocznie Radacę domyślił się, co mu grozi — powiedział porucznik. Motywy zbrodni stały się oczywiste. Pozostało już tylko jedno: zdemaskować Radacę. Stwierdzić, pod jakim występuje nazwiskiem. Bo, że nie pod swoim — tego porucznik był pewien:

W poniedziałek rano kapitan Miłosz w Wojewódzkiej Komendzie MO we Wrocławiu odtworzył na podstawie akt sprawę Hulewicza.

Było to w drugiej połowie 1949 roku.

Do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie zgłosił się mężczyzna, podając, że nazywa się Zygmunt Hulewicz i jest agentem amerykańskiego wywiadu. Z początku nie uwierzono mu. Hulewicz przedstawił jednak niezbite dowody. Podał nazwę organizacji amerykańskiej siatki wywiadowczej, ośrodek, w którym go przeszkolono, i kanał prowadzący do Polski.

Hulewicz twierdził, że nie nawiązał żadnych kontaktów i zrezygnował z pracy wywiadowczej. Został skazany na sześć lat więzienia. Sąd wziął pod uwagę fakt, że nie rozpoczął on działalności szpiegowskiej, i szczerze przyznał się do winy.

Proces był głośny w kraju i za granicą. Hulewicza uwolniono przed terminem. Osiedlił się we Wrocławiu i jako inżynier-mechanik pracował w stoczni rzecznej. Miłosz odnalazł go bez trudności.

Starszy, wytworny pan był nieco zdziwiony wizytą oficera milicji. Kapitan wyjaśnił, że prowadzi śledztwo w sprawie zamordowania Odrowąży i chciałby uzyskać pewne informacje.

W gabinecie inżyniera byli sami — mogli więc szczerze rozmawiać.

— Jak dawno zna pan braci Odrowąży?

— Starszego Odrowąży właściwie nie znam, widziałem go raz w życiu, kiedy spotkał się u mnie z bratem Adamem. Adama znam natomiast od dawna. W 1940 roku jako oficer rezerwy artylerii znalazłem się w Anglii. W tym czasie, ze względu na nadmiar polskich oficerów, wielu z nas nie miało przydziału. Zgłosiłem się więc do lotnictwa. Niestety nie przebrnąłem przez komisję lekarską. W 1942 roku zaproponowano mi przerzut do Polski, gdzie miałem pracować w wywiadzie AK. Chętnie się zgodziłem.

Skierowano mnie na specjalny kurs do Szkocji. Tam poznałem Adama Odrowąży. Pół roku później wylądowałem na spadochronie pod Warszawą. Przez dwa lata pracowałem w komórce wywiadowczej AK. Wybuch powstania zastał mnie w Krakowie. W grudniu wyjechałem do Niemiec, gdzie rozpracowywałem jedną z

stoczni łodzi podwodnych. Wtedy nastąpiła kapitulacja.

Zgłosiłem się do władz londyńskich. W 1948 roku zaproponowano mi pracę w wywiadzie. Niby to polskim, a w rzeczywistości amerykańskim. Byłem w ciężkich warunkach materialnych, więc zgodziłem się.

Przeszedłem przeszkolenie, otrzymałem fałszywe dokumenty, instrukcje, dolary i błogosławieństwo na drogę. Jednym z kanałów przerzutowych dojechałem do Warszawy.

Widok zrujnowanej stolicy, wysiłek całego narodu, żeby odbudować kraj, nowe domy i fabryki, a przede wszystkim zapal całego społeczeństwa — wywołały u mnie niespodziewaną reakcję. Zgłosiłem się do Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i przyznałem się do wszystkiego. Co było dalej, pan na pewno wie.

— Tak, wiem — odpowiedział Miłosz.

— Od wyjścia z więzienia pracuję w tutejszej stoczni. Kilka lat temu otrzymałem niespodziewanie list od Adama Odrowąży.

— Skąd on znał pański adres?

— W tym czasie stocznia nasza obchodziła uroczystość wodowania którejś tam z kolei barki. Jakiś wścibski dziennikarz dowiedział się, kim jestem, i przeprowadził ze mną wywiad. Nie przypuszczałem, że ukaże się na drugi dzień w jednym z popularnych dzienników, pod tytułem: *Niedoszły pracownik amerykańskiego wywiadu... buduje barki i statki rzeczne.*

Gazeta zawędrowała do Londynu. Artykuł przeczytał Adam Odrowąż i przysłał do mnie list pod fabryczny adres. Pisał, że ma zamiar odwiedzić Polskę i przy okazji chciałby zobaczyć się ze mną. Prosił, bym mu dał znać, czy się na to zgadzam. Odpisałem, że nie mam nic przeciwko temu. Przeciwnie, będzie mi bardzo przyjemnie.

Podał mi swój prywatny adres i czekałem na odpowiedź. Dopiero w ubiegłym roku dostałem drugi list od Adama. Zawiadamył w nim, że będzie w lipcu u swojej siostry w Warszawie i potem wpadnie do mnie.

W początkach lipca dostałem od niego

kartkę, tym razem z Warszawy, że odwiedzi mnie 15 lipca. Przygotowaliśmy się z żoną na przyjęcie zagranicznego gościa. Adam zjawił się rano. Przyjechał z Warszawy własnym samochodem. Przywitał się ze mną serdecznie, oznajmiając, że pozwolił sobie zaprosić do mnie swego brata Maurycego. Pułkownik przyjechał w południe. Widziałem go wtedy po raz pierwszy.

Rozmawialiśmy na różne tematy, aż po pewnym czasie Adam zapytał, jak oceniamy sytuację międzynarodową.

Pierwszy wypowiedział swoje *credo* pułkownik. Jego poglądy rozwścieczyły Adama.

— Tobie nie dziwię się — powiedział pod moim adresem. — Nikt na Zachodzie nie wierzy, żeś dobrowolnie oddał się w ręce bezpieki. Złapali cię i potem, im tylko znanymi metodami, zmusili cię do zeznania podobnych bredni.

Zachnąłem się, ale Adam nie pozwolił sobie przerwać. Wiedział lepiej ode mnie. Potem napadł na brata.

— Wszyscy są oburzeni twoim postępowaniem. Jak mogłeś tak łatwo pójść na lep bolszewickiej propagandy!

— Co przez to rozumiesz? — replikował pułkownik.

— Całą twoją działalność publicystyczną! Jak możesz tak szkalować działanie jedynego prawdziwego polskiego wojska!

Pułkownik zareagował bardzo ostro. Powiedział, że polskie wojsko było wszędzie tam, gdzie się bił polski żołnierz, a błędy dowódców nie podważają jego bohaterstwa.

Między braćmi doszło do ostrej sprzeczki; wreszcie pułkownik zapytał:

— Czy po to tu przyjechałeś z Anglii, by mi to powiedzieć?

Adam wtedy opanował się. Wygłosił długi wykład na temat sytuacji międzynarodowej — naturalnie, z punktu widzenia Londynu. Na zakończenie powiedział, że na razie o walce zbrojnej trzeba zapomnieć, ale obowiązkiem każdego Polaka jest prowadzenie walki o rząd dusz, zwalczanie jadu komunistycznej propagandy. Tylko w ten sposób możemy zachować ducha narodu.

— Jak ty to sobie wyobrażasz? — zapytał pułkownik.

— Nareszcie znaleźliśmy wspólny język! Przywoziłem nieco propagandowego materiału. I będę wam przysyłał więcej. Na wasze lub przez was wskazane adresy. A waszym obowiązkiem będzie rozprawianie tych materiałów, organizowanie czytelnictwa prawdziwej polskiej, narodowej prasy.

— Jednym słowem, organizowanie tajnych, nielegalnych stowarzyszeń? — zapytał pułkownik.

— Można to i tak nazwać.

Wtedy pułkownik wstał i powiedział:

— Adam, zawsze wiedziałem, że jesteś głupi, ale nie przypuszczałem, że jesteś podły. Czy uważasz nas za głupców? Czy sądzisz, że nie orientujemy się, kto się kryje za tą „narodową prasą“? Nie mam zamiaru prowadzić z tobą dyskusji. Daję ci czterdzieści osiem godzin na opuszczenie Polski. Jeśli tego nie zrobisz, złożę odpowiedni meldunek o prawdziwym celu twojej wizyty.

Przyznałem mu słusność. Adam odwrócił się na pięcie i wyszedł.

W dwa dni później otrzymałem od niego kartkę z Poznania, że opuszcza Polskę. Od tej pory nigdy go nie widziałem i nie słyszałem o nim.

Miłosz dla porządku notował na kartce najważniejsze wypowiedzi Hulewicza. Nie ulegało jednak wątpliwości, że nie tu jest pies pogrzebany. Sprawy śmierci Odrowąża należało szukać gdzie indziej. Za działalność publicystyczną, za odmowę propagandy — nawet najzacieklejsi londyńczycy nie stosowali kary śmierci.

— Dziękuję — powiedział. — Dowiedziałem się od pana wielu ciekawych rzeczy.

Miłosz nad czymś się zastanawiał. Rozmawiali jeszcze około pół godziny. Potem pożegnał Hulewicza i odjechał. Zjedli z kierowcą obiad i szybko wyruszyli w powrotną drogę. Miłosz chciał zdążyć na pogrzeb Odrowąża.

Pogrzeb pułkownika Odrowąża na miejscowym cmentarzu miał uroczystą oprawę. Na czele szła kompania honorowa Wojska

Polskiego, dalej delegacje z wieńcami: od MRN, której zmarły był radnym, zakładów im. Gottwalda, koła ZBoWiD-u, od organizacji społecznych. Młodzież szkolna niosła na poduszkach liczne odznaczenia. Za trumną, niesioną przez kombatantów drugiej wojny światowej, kroczyła pani Joanna Grobelna — jedyna przedstawicielka rodziny.

Kilku mówców podkreśliło prawy charakter zmarłego, jego wojenne zasługi i wkład do piśmiennictwa historycznego. Kompania honorowa sprezentowała broń i przy dźwiękach werbli trumnę opuszczono do grobu. Powoli cmentarz pustoszał.

Kapitan Miłosz, stojąc z boku, przyglądał się żałobnej uroczystości. Mimo woli zastanawiał się, czy wśród przybyłych na cmentarz znajduje się morderca. Zbrodniarza ciągnie na miejsce zbrodni, a w swej długoletniej praktyce kapitan nieraz spotykał się z tym, że zbrodniarz był obecny na pogrzebie swej ofiary.

Po pogrzebie Miłosz podszedł do Grobelnej stojącej w towarzystwie kanonika i przewodniczącego koła ZBoWiD-u. Złożył jej kondolencje.

— Wysłałam depeszę do Adama — powiedziała. — Ale nie odpowiedział.

— A ja dziś rano widziałem się z Hulewiczem.

— Co pan powie? Odnalazł go pan? I dowiedział się pan czegoś ciekawego?

— Nic szczególnego. W każdym razie śledztwo trwa. Mam nadzieję, że niedługo ujmiemy mordercę.

— Oby Bóg dał! — westchnął kanonik.

Z cmentarza Miłosz pojechał do komyndy. Dowiedział się, że rano telefonował porucznik Maksymiak: udało mu się odnaleźć podoficera ze szwadronu Odrowąża. Spodziewa się otrzymać od niego wiele ciekawych szczegółów.

— Jak porucznik wróci, niech zaraz do mnie zatelefonuje. Bez względu na porę dnia — polecił kapitan.

Maksymiak wrócił o trzeciej rano i natychmiast zatelefonował do Miłosza.

— Czy macie coś ciekawego? — dopytywał się kapitan.

— Tak. I to nawet bardzo.

— Zaraz tam będę — usłyszał w odpowiedzi.

Konferowali do piątej. Obaj doszli do wspólnego wniosku: mordercą jest Radac. Radac był zainteresowany w tym, by Odrowąż zszedł z tego świata; groziło mu zdemaskowanie i rozprawa sądowa. Jednakże nie występował teraz pod swoim nazwiskiem. Nie wiadomo, jak się aktualnie nazywa i gdzie pracuje. Trudno było też ustalić jego rysopis. W ciągu trzydziestu lat ludzie się zmieniają. Mógł wyłysieć, osiwieć, zapuścić wąsy, nosić okulary. Olejnik na pewno by go poznał, ale trudno go tu ścigać tylko po to, by chodził po mieście i szukał Radaca. Zresztą Radac po zamordowaniu Górniaka mógł stąd uciec. Grunt mu się palił pod nogami.

Były jeszcze do wypełnienia dwie luki: jaką rolę odegrał w morderstwie Nowoczek i skąd Radac dowiedział się o wyjeździe Górniaka w poszukiwaniu wachmistrza Olejnika. Nie ulegało wątpliwości, że te dwie luki wypełnią się, gdy zostanie zdemaskowany Radac. I odwrotnie — gdyby udało się je wypełnić, to zdemaskowałoby Radaca. Było to jednak dość skomplikowane: Górniak nie żyje, a Nowoczek gdzieś zniknął.

Na razie więc zdecydowali, że porucznik zostanie na miejscu i będzie dalej prowadził śledztwo, a kapitan pojedzie do Poznania.

— Może w Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich natrafię na ślad Radaca.

O godzinie dziewiątej, kapitan Miłosz z kierowcą, kapralem Kowalczykiem, mknęli przedmieściami Poznania. Zatrzymali się przed gmachem Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce.

Nazwisko Radaca figurowało w ewidencji zbrodniarzy wojennych. Miłosz otrzymał do wglądu *dossier* ze starannie wypisanym nazwiskiem *Radac vel Eryk Radatz*. Jak wynikało z akt, Radac urodził się w roku 1917 we wsi Wielgowo w

Poznańskiem. Jego ojciec, Wilhelm Radatz, był właścicielem gospodarstwa rolnego. Dwudziestoletni Eryk Radatz jesienią 1939 roku zapisał się na *volksliste* i został zatrudniony w niemieckiej policji. Według zeznań licznych świadków i ofiar, brał udział w rozstrzeliwaniu Polaków, w wysyłce do obozów i miejsc kaźni. Ze szczególną zawziętością tropił polskich żołnierzy, którzy zwalczali niemiecką dywersję w czasie kampanii 1939 roku. Był również inicjatorem brania zakładników, których później rozstrzeliwano pod bile pretekstem. Jednym słowem, rejestr jego zbrodni był nader bogaty.

W początku 1944 roku Radatz, który się dosłużył już stopnia oficerskiego, został przeniesiony do Komendy Policji w Poznaniu. Dalej mówiły już za siebie autentyczne dokumenty hitlerowskie: A więc Eryk Radatz brał udział w śledztwie, a następnie w likwidacji „wywrotowej grupy Polaków“. Inny dokument mówił, że Radatz w maju 1944 roku zginął w czasie bombardowania przez lotnictwo alianckie stacji kolejowej Poznań. Dalej znajdował się odpis pisma powiadamiającego Wilhelma Radatza, że syn jego zginął za *Vaterland und Führer* i został pochowany na cmentarzu komunalnym w Poznaniu.

Na podstawie powyższych dokumentów prokurator umorzył śledztwo przeciwko Erykowi Radatzowi. Niestety, w aktach nie było ani jednego zdjęcia Radatza. Widocznie nie lubił się fotografować. Znajdowały się jedynie zdjęcia z egzekucji. Możliwe, że wśród hitlerowców znajdował się Radatz, ale który — nie wiadomo.

Kapitan Miłosz zauważył, że *dossier* nie mówiło o dywersyjnej działalności Radatza w czasie kampanii wrześniowej. Zwrócił uwagę na ten istotny szczegół pracownikowi komisji.

— To jest zupełnie możliwe. Śledztwo przeciwko niemu było prowadzone zaraz po wojnie. Ponieważ stwierdzono, że Radatz nie żyje, śledztwo umorzono... Możliwe, że gdyby było prowadzone dalej, wyszłoby na jaw wiele innych zbrodni Radatza. Cóż z tego, skoro jest poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości. A czy

pan kapitan słyszał coś o jego dywersyjnej działalności we wrześniu 1939 roku?

— Tak, słyszałem. Wynika z tego, że Radatz żyje.

— Może to tylko któryś z jego krewnych?

— Gdzie się znajduje miejscowość Wielgowo?

— Niedaleko. Dwadzieścia kilometrów od Poznania.

Dochodziła godzina dwunasta. Wiadomość o śmierci Eryka Radatza całkowicie pokrzyżowała plany Miłosza. A może istotnie Odrowąż spotkał kogoś zupełnie obcego — podobnego do Radatza? Kto wobec tego zamordował Odrowąża? Nowoczek? Górniak? A może razem, a potem Nowoczek ukatrupił Górniaka? Po co? Żeby zagarnąć drugą połowę łupu? A wyjazd Górniaka do Olejnika? Nie, to się nie trzymało kupy. Ręce i nogi miała tylko jedna hipoteza: że było dwóch Radatzów — braci czy też bliskich krewnych. Jeden zginął w czasie nalotu, a drugi — też zbrodniarz wojenny — ukrywa się pod obcym nazwiskiem.

O godzinie trzynastej trzydzieści Miłoz rozmawiał z sołtysem Wielgowa.

— Mieszka tu u nas rodzina Radaców, ale czy to krewni hitlerowskiego zbrodniarza, nie wiem.

— Czy ci Radacowie w czasie wojny nie byli folksdojczami? — pytał kapitan.

— Na pewno nie. Jeden Radac był żołnierzem Wojska Polskiego i bił się nad Nysą.

Miłoz pojechał do wskazanego gospodarza. Był to właściwie folwark nad jeziorem. Gospodarza z rodziną zastał przy obiedzie. Wylegitymował się i powiedział, że chce rozmawiać z panem Radacem w cztery oczy. Przeszli do sąsiedniego pokoju, będącego czymś pośrednim między salonikiem a gabinetem. Na ścianie kapitan zauważył portret Radaca w mundurze plutonowego.

— Chciałem się od pana dowiedzieć, czy Eryk Radatz jest pańskim krewnym?

— Tak — usłyszał w odpowiedzi. To „tak“ było wypowiedziane prawie niechętnie. — Niestety, to był folksdojcz. O ile mi wiadomo, nie żyje. Widzi pan, nasz

dziad był Niemcem, pisał się przez „tz“, przywędrował z zachodnich Niemiec. Dostał tu folwark i ożenił się z Polką. I to już się stało rodzinną tradycją: trzech jego synów również ożeniło się z Polkami. Najstarszemu, Kurtowi, żona wcześniej umarła. Jego dwaj synowie chodzili do niemieckiej szkoły i prawie że nie znali polskiego języka. Mój ojciec, Jan, całkowicie się spolonizował: w domu używało się wyłącznie polskiego języka. Ojciec Eryka — Wilhelm to był taki ni Polak, ni Niemiec. Eryk chodził wprawdzie do polskiej szkoły i biegle mówił po polsku, ale zawsze szukał towarzystwa wśród niemieckiej młodzieży.

W 1937 roku wzięli go do wojska. Służył w kawalerii, i dosłużył się stopnia kaprała. Myślałem, że wybili mu z głowy niemieckie ciągoty, aż tu nagle Eryk zjawia się w Wielgowie w mundurze niemieckiego policjanta. Razem ze swoim ojcem i stryjem Kurtem namawiali mnie, byśmy się zapisali na *volksliste*, ale ojciec nasz nawet nie chciał słuchać. Odebrali nam więc gospodarstwo i wywieźli do Lubelskiego.

Ojciec pracował jako robotnik w tartaku, a ja uciekłem do lasu. W 1944 roku wstąpiłem do wojska. Służyłem w 8 Dywizji Piechoty, brałem udział w bitwie nad Nysą, Budziszynem i Pragą. Po demobilizacji wróciłem do Wielgowa. Ojciec z powrotem objął nasze gospodarstwo, które zagarnął Kurt Radatz. Po Kurcie i Wilhelmie nie zostało śladu — wraz z rodzinami uciekli w czterdziestym piątym na Zachód. Przeglądając pozostałe po nich szpargały, znalazłem zawiadomienie o śmierci Eryka, syna Wilhelma, w czasie bombardowania Poznania.

— Może mi pan pokazać te papiery?

— Proszę bardzo.

Poszperał w dużym dębowym sekretarzyku, wyjął płócienną teczkę, a z niej dwa arkusze papieru. Jeden z nich zawiadamiał o śmierci Eryka Radatza; kopia tego pisma znajdowała się w aktach Okręgowej Komisji w Poznaniu:

— Czy drugi syn Wilhelma na pewno wyjechał do Niemiec Zachodnich.

— Na pewno. Dwa lata temu pisał do

mnie. Mieszka w Hamburgu. Chciałby odwiedzić Wielgowo, swoją rodzinną miejscowość. Pytał, czy mogę go zaprosić. Odmówiłem mu. Po co ma się tu szwendać.

— Jeszcze jedno pytanie: czy o Eryka Radatca nikt się pana nie pytał?

— Owszem, pytali. Zaraz po wojnie, gdy toczyło się przeciwko niemu śledztwo.

— A potem już nikt się o niego nie dopytywał?

— Nie.

— Czy ma pan jego fotografię?

— Zniszczyliśmy z siostrą tego rodzaju pamiątki.

— Czy Eryk był podobny do pana?

— Zupełnie niepodobny.

Zatrzymali się w restauracji po drodze. Dochodziła godzina piętnasta. Szybko zjedli obiad i ruszyli w dalszą drogę. Gładka, bez zakrętów szosa pozwalała im jechać setką. Kowalczyk nastawił radio: nadawano koncert rozrywkowy. Miłosz pogrążył się w zadumie.

Pułkownik Odrowąż stanął na drodze zbrodniarza wojennego, musiał więc zostać usunięty. A potem Górniak. To było logiczne i zrozumiałe. Po zdrajcy, folksdojczu, hitlerowskim policjancie — można się było spodziewać wszystkiego. Ale Radac vel Radatz nie żyje. A zmarli nie są w stanie popełniać zbrodni. A może istotnie Odrowąż pomylił się, biorąc kogoś zupełnie innego za Radaca? Od 1939 roku minęło wiele lat, a pamięć ludzka jest zawodna. Kto wobec tego zamordował Odrowąża?

Relacja Olejnika nie wykluczała obecności w szwadronie drugiego dywersanta. Może jego nazwisko również figurowało w zaginionych relacjach. Miłosz znał ziemie zachodnie z 1945 roku. Były one wówczas eldorado i azylem dla przeróżnych niebieskich ptaków. Ukrywali się tu zbrodniarze wojenni, upowcy, zwykli kryminaliści i aferzyści. Wielu z nich wyłapano. Niektórzy jednak umknęli sprawiedliwości podając się za rzemieślników,

kupców czy urzędników. Wśród nich mógł się ukryć Radac numer dwa.

W kręgu podejrzanych znajdował się również Nowoczek. Mimo wszystko nie można go było wykluczyć. Tylko po co zabierałby trzy zeszyty z wrześnieowymi relacjami? A zabójstwo Górniaka? Musiałby to być przypadek. Za dużo tych przypadków. A jeżeli... jeżeli — myślał nad czymś Miłosz.

Na równej jak stół szosie Kowalczyk wyprzedził stara, potem nysę i przepelniony autobus. Chciał jak najszybciej znaleźć się w domu. Przed nimi w odległości trzystu metrów znajdowało się skrzyżowanie. Kowalczyk wyrzucił kierunkowskaz w prawo.

— Kapralu — usłyszał. — Jedziemy w lewo.

— W lewo? Na Wrocław?

— Tak. Do Wrocławia — potwierdził Miłosz.

Kowalczyk spojrział w lusterko. Autobus znajdował się w znacznej odległości. Z przodu nikt nie nadjeżdżał. Kierowca przyhamował i skręcił w lewo. Wrocław 30 kilometrów — głosił drogowskaz. Minęli kilka osiedli, niewielkie miasteczko. Na horyzoncie ukazały się kominy i wieże Wrocławia.

— Dokąd jedziemy? — zapytał kierowca.

— Do stoczni!

Zanim przejechali przez zatłoczone śródmieście i dobrnęli nad Odrę, dochodziła godzina siedemnasta. Inżyniera Hulewicza, naturalnie, już nie zastali. Miłosz bez trudu dostał jego adres.

Hulewicz przyjął go jak starego znajomego. Rozsiedli się w elegancko umeblowanym pokoju. Kapitan rozglądał się z ciekawością. Nie widział żadnych pamiątek świadczących o bogatej przeszłości gospodarza.

— Prawdopodobnie zdziwiła pana moja wizyta?

— Do pewnego stopnia. Słucham, czym mogę służyć?

— O ile sobie przypominam, kończył pan w 1942 roku kurs wywiadowczy w Szkocji?

— Tak.

— Czy przypomina pan sobie, ilu było na kursie uczestników?

— Owszem. Dwudziestu dwóch oficerów różnych broni.

— Czy posiada pan jakieś dokumenty lub zdjęcia z tego kursu.

— Nie — uśmiechnął się Hulewicz. — Pan zapomina, jaką drogą trafiłem do Polski. Ale jeśli to pana interesuje, mogę panu opowiedzieć.

— Byłbym panu bardzo zobowiązany.

— Ponieważ to trochę potrwa, pozwól mi pan, że zaparzę kawę.

Porucznik Maksymiak kończył przesłuchiwanie Górnika. Nieszczęśliwa kobieta była zupełnie roztrzęsiona. Nie miała pojęcia, dlaczego zamordowano jej Wojtkę, który nikomu nigdy nie wyrządził najmniejszej krzywdy. Porucznik jeszcze raz przeczytał protokół. Górnika nie potrafiła wyjaśnić, komu maż się zdradził z zamiarem złożenia wizyty Olejnikowi. Owoce dostarczał przeważnie do punktu skupu. Prywatnych odbiorców, poza Odrowążem, nie znała. Przychodzili, kupowali, pogadali o tym i o owym i odchodzili.

— Co maż zabrał ze sobą, wyjeżdżając do Olejnika?

— Mydło, ręcznik i chyba tysiąc złotych, i naturalnie dowód osobisty.

Maksymiak uzupełnił protokół, odczytał go i podsunął Górnika do podpisania.

Po wyjściu kobiety zagłębił się w lekturze protokołów z przesłuchania Jędrzejczaka i kolejarza, który widział w nocy Górnika na stacji kolejowej. Jędrzejczak nie potrafił wyjaśnić, jakim sposobem w jego altanie znalazło się ubranie ofiary. Spał z całą rodziną w pokoju sypialnym, którego okna wychodzą na szosę. Psa w gospodarstwie nie ma.

Kolejarz zeznał, że pamięta Górnika wychodzącego z pociągu. Na stacji wysiadło zaledwie kilka osób. Po krótkim postoju pociąg ruszył dalej. O godzinie trzeciej trzydzieści mało kto przyjeżdża. Do pracy i szkół jeszcze za wcześnie.

Przeszukano starannie okoliczne pola, rzekę, nadbrzeżne zarośla i las. Nic nie

znaleziono. Odtworzono przypuszczalne narzędzie mordu — kawał płaskownika — ale go nie znaleziono, tak samo, jak i dowodu osobistego Górnika, reszty z tysiąca złotych i drobniaków, które zabrał w drogę. Śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Należało teraz rozwiązać zagadkę, kim jest Radac. Bez wątpienia, on zamordował Odrowąża i Górnika. Ale rozwiązanie tej zagadki wcale nie przedstawiało się prosto. Zbrodniarz działał zdecydowanie, starannie zacierając ślady. Nic dziwnego — jest przecież byłym hitlerowcem.

Porucznik oczekiwał z niecierpliwością powrotu kapitana Miłosza z Poznania.

Rano Miłosz zawiadomił Maksymiaka, że będzie w komendzie nieco później:

— Wpadnę po drodze do „Gottwalda“. Mam tam coś do załatwienia — dodał.

Przyszedł około godziny dziesiątej. Maksymiak zrelacjonował mu przesłuchanie Górnika.

— A co w Poznaniu? — zapytał porucznik.

— W Poznaniu dowiedziałem się, że Radac nie żyje: zginął w czasie bombardowania w 1944 roku.

— To kto wobec tego zabił Odrowąża?

— Ja też zadałem sobie to samo pytanie. Dlatego wpadłem do Wrocławia. Tam...

W tym momencie odezwał się telefon. Maksymiak podniósł słuchawkę.

— Słucham! Tak, tak, właśnie tu jest.

— Do was, kapitanie. Z posterunku MO w Porębie.

— Słucham, tu Miłosz. Co mówicie? Doskonale! Już do was jedziemy. — Kowalczyk! — zawołał otwierając drzwi do korytarza. — Czy samochód gotowy do drogi?

— Gotowy.

— Jedziemy do Poręby!

Porucznik znał Miłosza i wiedział, że ten pośpiech musiał być spowodowany otrzymaniem jakiejś niezwykle ważnej wiadomości. W milczeniu zajęł miejsce na tylnym siedzeniu.

Kowalczyk, bez ponaglenia, pełnym gazem ciągnął po krętej, górskiej szosie. Z fasonem brał zakręty, zjeżdżał w doliny,

piął się w górę — i znów pędził w dół. Chwilami szybkościomierz wskazywał sto dwadzieścia na godzinę. Miłosz cały czas milczał; coś ważył w myślach, zastanawiał się.

— Komendant z Poręby meldował, że Nowoczek od kilku dni mieszka w pensjonacie „Stokrotka“. Kowalczyk! Co wy się tak wleciecie jak Żydzi na jarmark?

— Ja się włokę? Osiemdziesiątką na tej cholernej serpentynie?! — W głosie kaprała słychać było gorycz.

Ostatni dziesięciokilometrowy odcinek przemknęli w ciągu ośmiu minut. Ze zgrzytem hamulców zatrzymali się przed pensjonatem „Stokrotka“.

Właścicielka pensjonatu potwierdziła wiadomość, że pan Nowoczek jest u niej zameldowany.

— Mieszka na pierwszym piętrze w pokoju numer dwanaście.

Nowoczek nie było, zastali natomiast jego współlokatora.

— Pan dyrektor Nowoczek godzinę temu wyjechał.

— Dokąd?

— Nie wiem. Rano poszedł do miasta, wrócił taksówką i oznajmił, że nie ma ochoty dłużej się tu nudzić. Prawdę mówiąc, nie rozumiem go: wieczory spędzał w lokalach, podrywał kuracjuszki, a forsy miał jak lodu.

— Czy odjechał tą samą taksówką?

— Tak, taksówka czekała przed domem. Kawowa warszawa, ale numeru nie zauważyłem.

— A jak był ubrany pan dyrektor?

— Jak zwykle: w jasną marynarkę, szare spodnie i brązowy płaszcz ortalionowy.

Kawową taksówkę udało się odnaleźć około dwunastej. Taksówkarz zapamiętał pasażera w jasnej marynarce, który kazał się zawieźć do Górnej Poręby, do kawiarni „Warszawskiej“.

Podczas gdy Miłosz udał się na poszukiwanie kawowej warszawy, porucznik Maksymiak wpadł na pocztę. Urzędniczka oznajmiła mu, że poprzedniego dnia Nowoczek odebrał nadaną na *poste-restante* depeszę takiej treści: *czekam czwartek go-*

dzina 12 — Leon. Depesza została nadana ze Świerczewa.

Z Poręby do Poręby Górnej jest zaledwie dziesięć kilometrów. Kowalczykowi wystarczyło dziesięć minut, aby zawieźć obu oficerów MO do kawiarni „Warszawskiej“, znajdującej się w pobliżu dworca PKS. Był to właściwie samoobsługowy barek kawowy. Ruch w interesie był duży, co chwila ktoś wpadał na kawę, herbatę lub piwo. Barek nie miał najlepszej opinii. Spotykali się tu kombinatorzy, waluciarze i przemytnicy.

Barmanki nie pamiętały młodego mężczyzny w jasnej marynarce. Pojechali na posterunek MO. Ale miejscowy komendant nie potrafił nic bliższego powiedzieć na temat Nowoczka.

— Nas jest tu zaledwie sześciu, a ruch w sezonie olbrzymi. Kuracjusze, letnicy, turyści polscy i zagraniczni — w tym tłumie mogło być dziesiątki młodych mężczyzn w jasnej marynarce. Prosiłem już nieraz o zwiększenie etatów...

Przy okazji chce upiec własną pieczeń — pomyślał kapitan, a głośno zapytał: — A może widzieliście szarą syrenę z rejestracją naszego powiatu?

— Szara syrena? Z rejestracją naszego powiatu nie jest ich tak bardzo dużo. Jedźmy, kapitanie, na dworzec PKS.

Po dworcu kręcili się różni kombinatorzy i zwykli doliniarze, zawsze więc dyżurował tam milicjant. Zapytany o szarą syrenę odpowiedział bez wahania:

— Widziałem. Pół godziny temu zatrzymała się przed kawiarnią „Warszawską“. Zwróciłem nawet kierowcy uwagę, że stała za daleko od krawężnika...

— A widzieliście może, kiedy odjechała?

— Tak, stałem właśnie koło trawnika. Kierowca wyszedł zaraz z kawiarni w towarzystwie drugiego mężczyzny.

— Jak był ubrany ten mężczyzna?

— W brązowy płaszcz ortalionowy. Wsiedli do syreny i pojechali w stronę granicy.

— Jedziemy za nimi. — Komendant zwrócił się do milicjanta: — Wracajcie, sierżancie na posterunek, bierzcie radiowóz i gońcie za nami.

Wyjechali z osiedla. Napisy na drogow-

skazach głośno: *Do granicy państwa 12 kilometrów*. Miłosz wiedział, że do przejścia granicznego prowadziła droga, nowo wybudowana szosa, nie oznaczona na mapie. Prawdopodobnie syrena pojechała tamtędy.

Porucznik gubił się w domysłach, kto może być kierowcą syreny, podziwiając zarazem Miłosza tak pewnie wydającego polecenia. Widocznie rozwiązał już tę męczącą zagadkę. A przecież wiedział tyle samo, co Maksymiak, chyba... chyba że czegoś się dowiedział w Poznaniu.

— No, jeżeli nie sprawdzisz się moja hipoteza, to podam się do dymisji i będę sprzedawał kupony toto-lotka — żartował kapitan, jakby czytał w jego myślach.

Szosa prowadziła wzdłuż granicy, biegnącej grania z lewej strony, z prawej ciągnęła się dolina, przez którą przepływała rzeczka. Od strony granicy ciągnął sznur samochodów osobowych i autokarów z wycieczkami. Wzięli kilka zakrętów i wpadli na duży parking. Na prawo przed granicznym szlabanem, w lesie czernił się asfalt nowej szosy. *Do Perły 45 kilometrów* — głosił drogowskaz.

— Poruczniku, nawiążcie łączność z drugim radiowozem, a ja tymczasem skoczę do strażnicy WOP-u.

Okazało się, że szara syrena z miejscową rejestracją nie przekraczała granicy.

— Pan kapitan pyta się o szarą syrenę? Widziałem taki wóz — wtrącił się jeden z żołnierzy.

— Gdzie?

— Stali na parkingu i zmieniali koło. Dwóch mężczyzn. Strasznie szło im to niezdarnie. A potem pojechali w kierunku Perły. Nie więcej, jak dziesięć minut temu.

Kapitan wybiegł ze strażnicy. Dziesięć minut to niewiele. Powinni ich dogonić przed Perłą. Przed nimi żadnej krzyżówki ani rozwidlenia na szosie.

— Kowalczyk! — zawołał Miłosz wskazując do wozu. — Do Perły. Ale pełnym gazem. Ma pan łączność z „Ewą“? — zapytał porucznika.

— Tak.

— Niech się połączą z komendą MO w Perle.

Samochód pędził nową szosą.

— „Ewa“ rozmawia z komendą w Perle — meldował porucznik.

— Niech zablokują szosę od strony granicy. Zatrzymać szarą syrenę!

— Po co gonimy jak wariaci, skoro i tak zablokują nam szosę?

— Nie filozofować, Kowalczyk! Kto wie, czy już nie jest za późno.

Warszawa mknęła pełnym gazem. Wyprzedzili dwa autokary i kilka samochodów osobowych. Po obu stronach szosy ciągnął się wysokopienny las. Po kilku kilometrach las skończył się. Teraz szosa biegła z boczem w dół. Obok kamiennego wiaduktu nad rzeczką w dolinie i znów pięła się stromą serpentyną w górę i ginęła w lesie. Po serpentynie wdrapywał się pod górę szary samochód. Chyba syrena. Kowalczyk pędził w dół, ostro brał zakręty. Jak wicher przemknęli pod wiaduktem i znów wpadli na serpentynę. Tym razem jechali w górę, już nieco wolniej. Wjechali do lasu. Jeden zakręt, drugi, trzeci. Na poboczu szosy stała szara syrena.

— Stój! — zdążył krzyknąć Miłosz.

Kierowca zahamował gwałtownie. Miłosz wyskoczył z samochodu. Obok syreny stało dwóch mężczyzn: Nowoczek i Pawlicki.

— Witam pana magistrza. Co za niezwykle spotkanie.

W oczach Pawlickiego czaił się strach. Nowoczek stał błądy jak ściana.

— Dzień dobry — wyjąkał Pawlicki.

— Przykro mi, że przerywam panom wycieczkę, ale muszę aresztować obywatela Nowoczka; jest podejrzany o kradzież cyny.

Nowoczek w dalszym ciągu stał nieruchomo jak słup soli. Pawlicki robił wrażenie człowieka, któremu spadł kamień z serca. Na zakręcie ukazała się druga milicyjna warszawa.

— Poruczniku, proszę odwołać blokadę. Nowoczek, jesteście aresztowani. Wsiadajcie do naszego samochodu.

— Panie kapitanie, chciałem...

— Później będziemy się tłumaczyć — przerwał Miłosz. — Pana magistrza też musimy zatrzymać do wyjaśnienia.

— Jakiego wyjaśnienia?

— Jechał pan samochodem z przestępcą. Musimy wyjaśnić, czy nie jesteście w zmowie.

— W zmowie — zaśmiał się Pawlicki.

— Pan, kapitanie, chyba żartuje.

— Bynajmniej. Może to cynowa afera?

— Czy mam wobec tego zostawić samochód?

— Nie, pojedzie pan swoim samochodem, tylko dla pewności w towarzystwie sierżanta. Ale ostrzegam pana: bez kawałów!

Kawalkada ruszyła z miejsca. Przodem jechał Miłosz z Nowoczkiem, za nimi syrena z Pawlickim i sierżantem, na końcu druga milicyjna warszawa prowadzona przez porucznika Maksymiaka.

Po przyjeździe do komendy Nowoczka zaprowadzono do aresztu. Pawlicki chciał zamknąć swój samochód.

— Niech pan nie zamyka, nic panu nie zginie: stoimy przecież na parkingu komendy MO.

— Jestem więc aresztowany? — zapytał Pawlicki.

— Zatrzymamy pana do wyjaśnienia. Jutro rano porozmawiamy. — Odciągnął na bok Maksymiaka. — Poruczniku, musicie zaraz jechać po Olejnika i ściągnąć go tutaj. Po powrocie natychmiast dajcie mi znać.

Minęło dziewięć dni od zamordowania Odrowąza. W gabinecie Miłosza siedzieli dwaj oficerowie i Hulewicz.

— Na razie nie będę opowiadał, jak do tego doszedłem; zrobię to później. Wprowadź Pawlickiego! — rozkazał Miłosz.

Wszedł Pawlicki. Nie przeroszony zajął miejsce przy biurku kapitana.

— Panowie chyba się znają? — zwrócił się do niego Miłosz wskazując na Hulewicza.

— Nie, nie znamy się — odpowiedział Pawlicki, obojętnie patrząc na Hulewicza.

— Nie? — zdziwił się kapitan. — A przecież razem byliście na kursie spadochronowym w północnej Anglii.

— Wielu było na kursie. Nie wszyscy się znali.

— Ale ja bardzo dobrze znałem Romu-
alda Pawlickiego — powiedział Hulewicz.
— To nie on, panie kapitanie.

— No wie pan — roześmiał się sztucznie Pawlicki. — Moją tożsamość mogą stwierdzić w zjednoczeniu, w Komitecie...

— Niech pan nie opowiada głupstw — przerwał Miłosz. — Mam jeszcze jednego pańskiego znajomego.

Maksymiak wyszedł i wrócił po chwili w towarzystwie Olejnika. Stary kawalerzysta stanął w drzwiach i na widok Pawlickiego ryknął:

— Radac! Ty s... synu! Nareszcie cię mam!

Podskoczył do Pawlickiego i złapał go za kłapy ubrania. Kapitan zmuszony był interweniować.

Pawlicki milczał, oteściały. W jego oczach czał się strach.

— Teraz niech tu przyjdzie Nowoczek; on też ma coś do powiedzenia na ten temat — wydał rozporządzenie kapitan.

Wystraszony i załamany Nowoczek usiadł na skraju krzesła.

— Słucham, panie kapitanie?

— Nowoczek, mówcie prawdę. To was może uratować od kary.

— Dobrze, panie kapitanie. Będę mówił prawdę.

— Powiedz mi, skąd wziąłeś dwie butelki szkockiej whisky, którą piliście z Golcem?

— Dał mi ją pan Pawlicki.

— A czy wiedziałeś, że tę wódkę zrabowano u zamordowanego pułkownika Odrowąza?

— Skąd miałem wiedzieć, panie kapitanie?

— Dlaczego rzuciłeś pracę i pojechałeś do Poręby? Skąd miałeś na to pieniądze?

— Dał mi pan Pawlicki i radził, bym na jakiś czas zniknął. Bo ja... tego... z Golcem... no cynę. Powiedział, że mi pomoże.

— Dlaczego zwróciłeś się właśnie o pomoc do Pawlickiego?

— Lubiliśmy go u nas, na zakładzie. Był w Anglii, zrzucili go do Polski, brał udział w powstaniu warszawskim...

— Otóż dowiedz się, że pan Pawlicki nigdy nie był w Anglii. W 1939 roku uprawiał dywersję, a potem jako folks-

dojeżdżać służył w hitlerowskiej policji. Wiesz, dlaczego wyjechaliście z Poręby w stronę Perły?

— Pan Pawlicki powiedział, że trzeba uciekać, bo szuka mnie milicja. Potem nawaliła nam opona. Za mostem zatrzymaliśmy się w lesie. Pawlicki powiedział, że musi pójść na stronę. Wtedy nadjechała milicyjna warszawa. Pawlicki powiedział: „Psia krew, dogonili nas. Nie przyznawaj się do niczego“.

— A wiesz, po co naprawdę zatrzymał się?

Miłosz mrugnął w stronę milicjanta stojącego koło drzwi. Milicjant wyszedł i po chwili wrócił, kładąc na biurku pistolet, kilof i łopatę.

— Tym pistoletem miał cię zabić, kilofem wykopać grób, a łopatą przysypać. Te przedmioty znaleziono u niego w samochodzie.

Nowoczek patrzył szeroko otwartymi oczyma.

— Ale za co? Za co? Co ja zrobiłem?

— Za co? Za nic! Po prostu chciał skierować na ciebie podejrzenie, żeś zamordował Odrowąza, obrabował go i uciekł przed wymiarem sprawiedliwości. A wiesz, kto zamordował Odrowąza?

— Nie wiem.

— Pan Pawlicki vel Radac. Radac, czy przyznajecie się do zdrady, wysługiwania się hitlerowcom, mordowania Polaków, zamordowania pułkownika Odrowąza, Górniaka i usiłowania zamordowania Nowoczka? Lepiej się przyznać. Dowodów jest aż nadto.

— Przyznaję się — wyszeptał Pawlicki vel Radac.

— Pozostaje do wyjaśnienia, jakim sposobem przedzierzgnęliście się z Radacem w Pawlickiego i co się stało z tym ostatnim. Tylko mów prawdę!

— Służyłem w niemieckiej policji, kiedy złapano skoczka z Anglii. Nazywał się Pawlicki. Torturowany przez gestapo przyznał się do wszystkiego. Zabili go, a mnie kazali udać się do Warszawy pod jego nazwiskiem. Wybrali mnie, bo dobrze znałem polski i służyłem w polskim wojsku. Akurat Amerykanie zbombardowali Poznań, więc ci z gestapo to wykorzystali. Rodzina

została zawiadomiona, że zginąłem za *Vaterland i Führera* — nawet pochowano mnie na jednym z cmentarzy. Do Warszawy przyjechałem w końcu lipca. Byłem zdecydowany zerwać z przeszłością.

— Dlaczego?

— Rzesza niemiecka przegrała wojnę. Co za sens służyć pokonanym?

— Ciekawe rozumowanie. I co dalej?

— Brałem udział w powstaniu i już zostałem jako Pawlicki; wszystko szło pięknie, póki nie spotkałem Odrowąza. Wiedziałem, że albo ja, albo on. Poszedłem więc wieczorem do niego.

— Z zamiarem zabicia pułkownika?

— Tak. Poznał mnie. „Przyszlście, Radac, pewnie prosić, żebym zapomniał o waszej dywersyjnej działalności?“ Zorientowałem się, że nie wie o mojej pracy w niemieckiej policji. Przyznałem, że był to błąd, ale że potem brałem udział w powstaniu warszawskim, że mam na to świadków. „A ja mam świadków, że byliście dywersantem. Ich zeznania na piśmie są tu, w biurku. Jedno co wam zostało — to iść do prokuratora i samemu się przyznać“.

Wiedziałem, że pułkownik nie daruje. Wstałem i poszedłem do wyjścia. Przy drzwiach odwróciłem się, wyciągnąłem pistolet i strzeliłem dwa razy. Wybiegłem przed willę. Na ulicy nie było nikogo. Wróciłem z powrotem.

— Po co? — zapytał Miłosz.

— Chciałem upozorować morderstwo na tle rabunkowym, kierując podejrzenie na Nowoczka. Odrowąz powiedział, że ma pisemne dowody mojej dywersyjnej działalności w 1939 roku. Musiałem je znaleźć. Przeszukałem biurko.

— I tam znaleźliście trzy skoroszyty z wrześnieowymi relacjami? — wtrącił Miłosz.

— Tak. W pierwszym skoroszytcie znajdowała się relacja starszego wachmistrza Olejnika, szefa szwadronu. Nie miałem czasu na dalsze badania. Zabrałem te trzy teczki i pieniądze, które leżały w biurku, złoty zegarek oraz dwie butelki szkockiej wódki.

— Około godziny dwudziestej trzeciej wyszedłem z willi Odrowąza. Drzwi zam-

knąłem od zewnątrz, a klucze wyrzuciłem w krzaki. W domu przeczytałem wszystkie relacje. Okazało się, że oprócz Olejnika obszernie opisał moją działalność kapral Górniak. W pierwszej chwili nie mogłem sobie przypomnieć, kto to jest. Dopiero w trakcie czytania uświadomiłem sobie, że to ten kapral przeniesiony z Wołynia. W dodatku okazało się, że mieszka w Bolechowie koło Świerczewa i jest w kontakcie z Odrowążem. Był dla mnie tak samo niebezpieczny jak Odrowąż.

— Postanowiliście więc go zabić?

— W każdym bądź razie unieszkodliwić.

— Niech i tak będzie. A jak dowiedzieliście się, że Górniak wyjechał do Olejnika?

— Przez przypadek. Rano zjawił się u mnie komendant straży przemysłowej. Omawialiśmy kilka spraw, a gdy już wychodził, powiedział: „A Górniak, panie kierowniku, wyjechał na kilka dni”. „Co za Górniak?” — zapytałem zdziwiony. „Mój sąsiad, sadownik, co miał panu kierownikowi dostarczyć owoców”. Przypomniałem sobie, że kilka dni temu proponował mi, żebym kupił u jego sąsiada jabłka. „Co za dziwny sadownik — powiedziałem obojętnym tonem. — Wyjeżdża na urlop w czasie sezonu”. „On nie pojechał na urlop, tylko do jakiegoś kolegi z wojska, co mieszka pod Poznaniem. Tak mi jego żona powiedziała”. Teraz byłem w domu: Górniak pojechał do Olejnika.

— Potem przestudiowaliście rozkład jazdy i czekaliście na Górniaka na stacji kolejowej?

— Tak. Czałem się przez dwie noce. Bałem się, że go nie poznam i zabiję niewinnego człowieka.

Tu już Olejnik nie wytrzymał. Zerwał się z krzesła i krzyknął:

— Niewinnego? A Górniak to był dla ciebie, skurwielu, w i n n y m człowiekiem? Czego winnym? Że wiedział o tobie?

— Niech się pan nie denerwuje — uspokajał go Miłosz. — To jest typowa hitlerowska mentalność. Bo chyba należeliście do NSDAP? — zwrócił się do przesłuchiwanego.

— Tak! — potwierdził Radac.

— Co było dalej, to już wiemy. Spisze-

my teraz krótki protokół i zawiadomimy prokuraturę. A ty, Nowoczek, uciekaj do domu. Jutro przyjdiesz złożyć zeznanie. I zapamiętaj sobie, że niedobrze jest zadawać się z nieodpowiednim towarzyszem.

— Dziękuję, panie kapitanie. A z tą cyną?

— Jutro porozmawiamy. Postaram się to jakoś załatwić.

Zegar wskazywał godzinę dwudziestą drugą. W gabinecie został już tylko Miłosz i Maksymiak. Na biurku leżały skoroszyty z wrześnieowymi relacjami, dowód osobisty Górniaka i złoty schafhausen. Były to przedmioty znalezione podczas rewizji w mieszkaniu Pawlickiego. Olejnik poszedł do hotelu, a Hulewicz wrócił do Wrocławia.

— W jaki sposób pan doszedł do tego, że to Pawlicki. Przyznam się, że miałem różne koncepcje, ale ta myśl nie zaświtała mi w głowie.

Miłosz uśmiechnął się.

— Wiadomo, że nie ma zbrodni doskonałej. Każdy przestępca musi popełnić jakiś błąd. I błędy te pozwalają odkryć prawdę. Pierwszym błędem Radaca było zabranie skoroszytów i jednoczesne pozorowanie morderstwa w celach rabunkowych. Gdyby nie zabójstwo Górniaka, to możliwe, że by mu się to udało. A tak sam wpadł we własne sidła.

W Poznaniu dowiedziałem się, że Radac zginął w czasie bombardowania Poznania. Początkowo wierzyłem w to i byłem przekonany, że idziemy w złym kierunku. Ale wtedy przypomniało mi się, że w czasie okupacji Niemcy, poszukując jednego z moich znajomych, nie uwierzyli w jego śmierć i rozkopali grób. Gestapo uważało więc, że ktoś się może w ten sposób ukrywać. Tę samą metodę mogli więc z jakichś przyczyn zastosować w stosunku do Radaca. Nie można więc było zakładać, że Radac nie żyje.

Odrowąż twierdził, że spotkał go dwa razy. Zastanawiałem się więc, czy Radac mieszka w Świerczewie? Doszedłem do wniosku, że tak. Świerczewo nie jest bo-

wiem ani kurortem, ani miejscowością turystyczną: po co Radac miałby tu przyjeżdżać? Z drugiej strony Świerczewo nie jest dużym miastem, prawie wszyscy się znają. Jak to możliwe, że Odrowąż nie spotkał go do tej pory? To mi nasunęło podejrzenie, że Radac mieszka w Świerczewie od niedawna. Wystarczyło więc wziąć pod lupę nowo zameldowanych w ciągu ostatniego roku. Odrzucając kobiety i dzieci — nie będzie ich wielu. Na pewno uda się wyłowić spośród nich Radaca.

Wtedy pomyślałem o Pawlickim. Dlaczego właśnie Pawlicki? Do Świerczewa został przeniesiony kilka miesięcy temu. Jak mi opowiadał przewodniczący koła ZBoWiD-u, przebywał w Anglii, a potem został przetrzucony do Polski. Dlaczego człowiek z taką przeszłością nie należy do ZBoWiD-u. Przynależność do ZBoWiD-u nie jest naturalnie obowiązkowa. Ale, aby się zapisać, należy mieć dwóch świadków i dwóch wprowadzających. Czyżby pan Pawlicki ich nie miał? I wówczas przypomniało mi się, że Hulewicz również był w Anglii i również został przetrzucony do Polski. Dojeżdżaliśmy właśnie do skrzyżowania. Kazałem Kowalczykowi skręcić do Wrocławia.

Po rozmowie z Hulewiczem nie miałem wątpliwości, że Pawlicki to Radac. Hulewicz bardzo dobrze znał Pawlickiego, razem byli na kursie w Szkocji. Nie miał wprawdzie zdjęcia Pawlickiego, ale opis, jaki podał, zupełnie nie pasował do kierownika personalnego z „Gottwalda“. Poza

tym, o ile mu było wiadomo, prawdziwy Pawlicki został zamordowany przez gestapo. Wystarczyło więc skonfrontować Pawlickiego z Hulewiczem lub Olejnikiem, by dojść prawdy.

Dziś rano pojechałem do „Gottwalda“, by rozwikłać jeszcze jeden problem: skąd Pawlicki dowiedział się o wyjeździe Górniaka. Przypuszczałem, że od Jędrzejczaka. Moje przypuszczenia okazały się słuszne. Jędrzejczak potwierdził to. Gdy rozmawiałem z nim, przed wartownię zajechał swoją syreną Pawlicki. „Komendantcie — powiedział głośno — gdyby się ktoś o mnie pytał, to jestem w komitecie. Wróćcie prawdopodobnie po południu“.

Wróciwszy do komendy zauważyłem, że przed komitetem nie ma syreny Pawlickiego. A potem odebrałem telefon z Poręby. Co było dalej, to już wiecie.

— Aż trudno uwierzyć — odezwał się Maksymiak — że mogą istnieć tak cyniczni zbrodniarze jak Radatz.

→ Macie rację. Ale nie odnosi się to wyłącznie do zamordowania Odrowąza i Górniaka. Rejestr zbrodni Radatza nie jest na razie dokładnie znany. Wyjaśni to dopiero śledztwo. Radatz musi odpowiedzieć za wszystko. Te zbrodnie nie podlegają przedawnieniu ani amnestii. Możliwe, że nigdy by nie został zdemaskowany, gdyby nie Odrowąż, który zapłacił za to życiem. Tak samo Górniak. Można powiedzieć, że obaj zginęli jak żołnierze, wypełniając swe obowiązki do końca.

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

W latach 1971-74 w serii „Ewa wzywa 07” ukazały się:

27. Krzysztof Opatowski — Złoty podział
28. Barbara Gordon — Hez ali
29. Andrzej Szczypiorski — Wiosna czterech lotrów
30. Wanda Falkowska — Kto jest?
31. Aleksander Scibor-Rylski — Złota kula
32. Zygmunt Zeydler Zborowski — Prawda rodzi nienawiść
33. Zygmunt Sztaba — To nie było samobójstwo
34. Walerian Drohiczyn — Feralny wtorek
35. Ewa Szczypiorska — Prezent dla Barbary
36. Aleksander Minkowski — Kiedy wracają umarli
37. Danuta Frey-Majewska — Maska śmierci
38. Władysław Krupiński — Tajemnica gotyckiej komnaty
39. Jerzy Siewierski — Zaproszenie do podróży
40. Witold Szymanderski — Ekspedycja
41. Jerzy Gieraltowski — Grobowiec rodziny von Rausch
42. Artur Morena — Arlekin
43. Helena Sekuta — Ślad rękawiczki
44. Julitta Mikulska — Klamka z mosiądzu
45. Maciej Z. Bordowicz — Toccata
46. Zygmunt Zeydler Zborowski — Czwartek, godzina 22
47. Jerzy Janicki — Amerykańska guma do żucia „Pinky”
48. Ewa Wielicka — Zanim zapadnie wyrok
49. Zenon Borkowski — Zemsta kuli nad grobem
50. Marian Butrym — Umarłym wstęp wzbroniony
51. Zygmunt Zeydler Zborowski — Dziewczyna w męskiej kuzalce
52. Helena Sekuta — Kartka z notosu
53. Maciej Z. Bordowicz — Fikcja
54. Andrzej Zarzycki — Dimanche znaczy niedziela
55. Jerzy Edigey — Gang i dziewczyna
56. Ryszard Szczerba — Alibi
57. Zenon Borkowski — Śmierć przeszyła obok
58. Władysław Krupiński — Celny strzał
59. Janusz Osęka — Śmierć w Złocie Kirkora
60. Jerzy Lantewski — Przeświecone zdjęcie
61. Danuta Frey — Pensjonat „Pod Złotym Lwem”
62. Witold Szymanderski — Spokojne uzdrowisko
63. Marian Butrym — Horoskop
64. Krystyn Ziemiński — Rubinowy ślad

